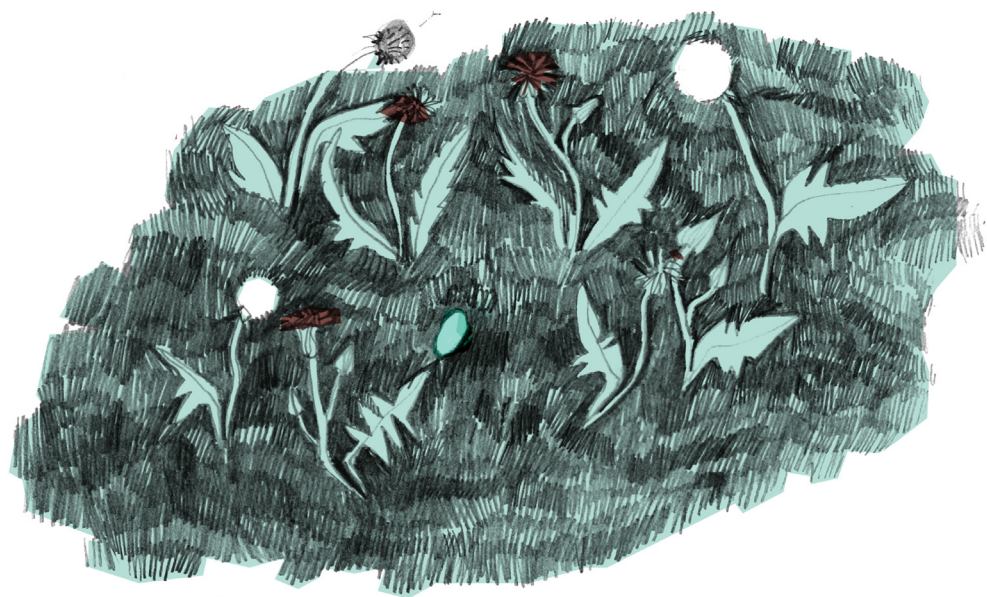


Maria Krüger

Karolcia





Dzień dobry!

Zaczyna się opowiadanie o przygodach dziewczynki, która miała na imię Karolcia, i o przygodach chłopca, imieniem Piotr. To, co im się przydarzyło, może się właściwie przydarzyć każdemu. Każdemu, kto... Sami zresztą się o tym przekonacie. Ale najpierw musicie poznać Karolcię.

Nowina

Kiedy zaczyna się to opowiadanie, Karolcia ma osiem lat i osiem miesięcy. Jak wygląda Karolcia? Nie jest bardzo duża, nie. Mama trochę się tym martwi, bo mamy zawsze chęć, żeby dzieci były wysokie i żeby wszyscy kręcili z podziwu głowami, mówiąc: Naprawdę? Osiem lat? A wygląda na dziesięć! A Karolcia wygląda akurat na tyle, ile ma — ale na pewno jeszcze urosnie. Urosną też jeszcze na pewno i Karolcine włosy jasne, związane w kitkę. Taka kitka związana ładną wstążką zupełnie porządnie wygląda, zwłaszcza że grzywka, która spada na Karolcine czoło, jest równiutko przycięta. Wiecie więc już, jak Karolcia jest uczesana — teraz jeszcze powiemy, że ma okrągłą buzię i trochę wystającą bródkę. A oczy ma takie kocie — duże, okrągłe i zielonkawe.

Tak wygląda Karolcia. Poza tym należy dodać, że Karolcia jest jedynaczką, to znaczy, że nie ma ani brata, ani siostry. Ma tylko mamusię i tatusia, i ciotkę Agatę, która jest grubiuśka i zawsze się tym martwi, że wszyscy w domu za mało jedzą.

Można też jeszcze powiedzieć, że Karolcia za parę dni otrzyma świadectwo szkolne, w którym będzie napisane, że przechodzi do klasy trzeciej.

W tej chwili, kiedy spotkaliśmy Karolcię biegnącą do domu, ona sama jeszcze nic nie wiedziała o rzeczach niezwykłych, które się jej przytrafią. Ale to bardzo często tak bywa — nie wiemy, co nas czeka nawet w najbliższej przyszłości.

Wszystko zaczęło się od tego, że tatuś przyszedł na obiad

z nowiną o przeprowadzce. Oczywiście jest to nowina nie byle jaka — zmiana mieszkania. Cała rodzina miała się przeprowadzić do pięknego mieszkania w nowym domu. Miało to być mieszkanie nie tylko ładniejsze, ale i większe, i z balkonem.

Wszyscy bardzo ucieszyli się tą nowiną i od razu zostało ustalone, że przeprowadzka odbędzie się za tydzień i że trzeba już zabierać się do pakowania rzeczy. Poza tym mama i tatuś postanowili, że natychmiast po obiedzie pojedą obejrzeć to nowe mieszkanie, a Karolcia z nimi nie pojedzie, ponieważ ma dużo lekcji do odrobienia. Oczywiście nie było to najprzyjemniejsze — bo Karolcia wolałaby zobaczyć to mieszkanie z balkonem zamiast uczyć się tabliczki mnożenia, ale trudno. Karolcia już się nieraz przekonała, że nie zawsze robi się same przyjemne rzeczy. To wszystko wydarzyło się tego dnia, kiedy spotkaliśmy Karolcię. A potem, już w następnych dniach, było tylko pakowanie i pakowanie. Wszyscy byli ogromnie zajęci i przejęci przeprowadzką. Karolcia również była zajęta — musiała przecież w jednej ze skrzyń przywiezionych z takiego biura, które załatwia przeprowadzki, ułożyć swoje książki i zabawki.

Tatuś co prawda trochę się skrzywił, gdy zobaczył, że Karolcia wkłada do skrzyni starannie zawiniętą w chusteczkę Ewelinkę, tę najbardziej biedną z lalek — zupełnie prawie wyłysiałą, ale Karolcia spojrzała na tatusia tak błagalnie, że dał spokój wszelkim wymówkom. Zwłaszcza że mama powiedziała: „Niech zabierze tę biedną Ewelinkę. Jest do niej bardzo przywiązana”.

I w ten sposób nadszedł dzień przeprowadzki na nowe mieszkanie.

Teraz trzeba by tylko jeszcze powiedzieć coś o tym właśnie mieszkaniu. Otóż mieściło się ono w nowych — i jak tatuś zapewniał — niezwykle ładnych blokach mieszkalnych przy ulicy Kwiatowej. Dom ma numer dwadzieścia. A mieszkanie siedem. I mieszkanie jest na pierwszym piętrze. Z balkonem.

Tak, to zapowiadało się zupełnie dobrze. Tak dobrze, że Karolcia już nie mogła doczekać się dnia przeprowadzki. I nawet w kalendarzu na tej kartce, która oznaczała ten ważny dzień, narysowała czerwony kwiatek.

Jakoż dzień ten w końcu nadszedł. I okazał się dniem nie tylko tak ważnym, jak to Karolcia przypuszczała, ale jeszcze ważniejszym. Naprawdę zupełnie niezwykłym.

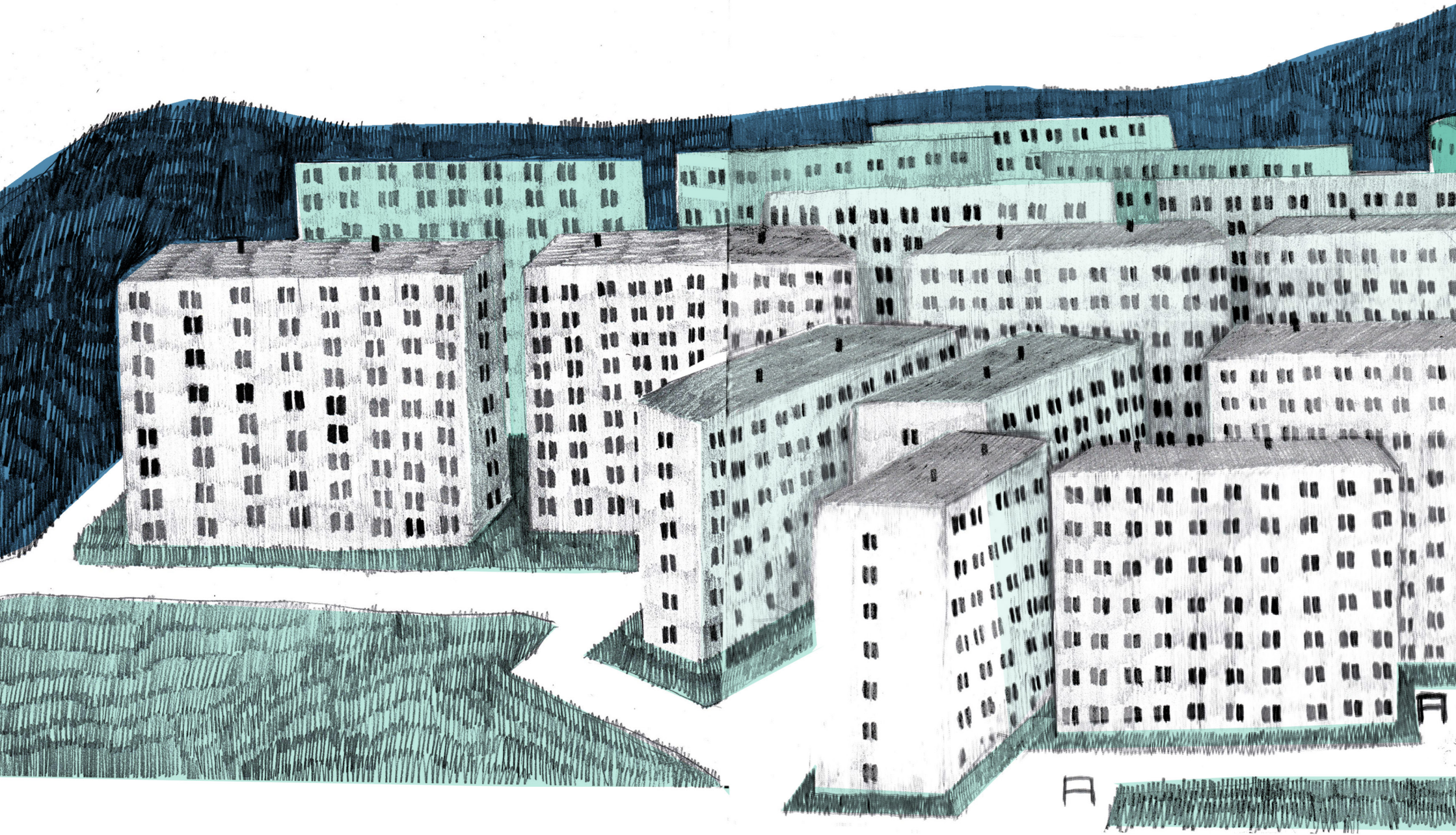
Zaczęło się zwyczajnie

Właściwie wszystko zaczęło się zupełnie zwyczajnie. Tak jak zawsze w dniu przeprowadzki. To znaczy, że tego dnia wszyscy wstali o wiele wcześniej niż zwykle, śniadanie zjadło się szybko i nikt nie pilnował Karolci, żeby wypić mleko, a potem zaraz przyszli mężczyźni w niebieskich kombinezonach i zaczęli wynosić skrzynie z książkami i innymi rzeczami oraz meble.

Wtedy najpierw okazało się, że ściana w tym miejscu, gdzie stała szafa z książkami, jest o wiele jaśniejsza niż reszta ściany, potem okazało się, że za starym koszem, w którym były różne niepotrzebne ścinki materiałów i nie noszone suknie mamy, myszki zrobiły sobie małe, śmieszne, szare gniazdko, teraz zresztą zupełnie puste, i że wreszcie w szparze podłogi, gdzie stał dawniej kredens, niebieszczy się niebieski, podłużny jak fasolka koralik.

Zupełnie nie było wiadomo, skąd się tam wziął, gdyż ani Karolcia, ani mama, ani ciotka Agata nigdy nie miały takich koralików. Karolcia chciała koniecznie ten koralik wydłubać ze szpary, bo wydał się jej bardzo ładny, ale zaraz o tym zapomniała, bo jak to zawsze przy przeprowadzce — na nic nie ma czasu: wszyscy się śpieszą zupełnie nie wiadomo dlaczego, są zdenerwowani i wołają: „Karolciu, nie przeszkadzaj!”

Przypomniała sobie o tym koraliku dopiero wtedy, kiedy okazało się, że ma pojechać do nowego mieszkania taksówką razem z ciotką Agatą i że ta taksówka już czeka przed domem.



Nie zważając więc na pełne oburzenia okrzyki ciotki Agaty, zawróciła z podwórka i wpadła do zupełnie już pustego pokoju, w którym podłoga pokryta była podartymi papierami, słomą od pakowania szkła i kurzem. Rozejrzała się niespokojnie, ale zaraz odetchnęła z ulgą — koralik niebieszczył się w pełnej kurzu szparze podłogi. Po prostu można by powiedzieć, że jaśniał jakimś przedziwnie pięknym blaskiem. Wydał się teraz Karolci jeszcze ładniejszy niż przedtem. Przyklękła i szybko, przy pomocy jakiejś drzazgi, która leżała w pobliżu, wydobyła koralik ze szpary.

— Karolciu! — rozległ się rozpaczliwy, rozdzierający okrzyk ciotki Agaty.

— Idę! Już idę! — odpowiedziała Karolcia i zbiegła ze schodów. Koralik mocno ścisnęła w dłoni, bo bała się go zgubić. I mimo że ciotka Agata bardzo gniewała się o to, jak powiedziała, „bieganie nie wiadomo po co” — Karolcia była ogromnie szczęśliwa. W zaciśniętej dłoni czuła podłużny, twardy kształt koralika.

— Na litość boską! Prędszej! — wołała tymczasem ciotka. — Musimy zaraz jechać na Kwiatową. Proszę pana — zwróciła się do szofera taksówki — niech pan nas zawiezie na Kwiatową numer dwadzieścia! Tylko możliwie szybko!

Szofer taksówki odwrócił się, mrugnął porozumiewawczo do Karolci, sprawdził, czy drzwiczki są dobrze zamknięte, i oświadczył pogodnie:

— No, to jedziemy!

Ba! Dobrze to powiedzieć: jedziemy! Ale jechać, jak się okazuje, jest o wiele trudniej. Zupełnie jakby wszystkie taksówki i autobusy, i samochody ciężarowe, i tramwaje,

i trolejbusy umówiły się, że akurat spotkają się na jezdni o tej godzinie! Taki był tłok wszelkich pojazdów.

— Cóż za korek! — narzekał kierowca. — Ani rusz nie można się przepchnąć! Teraz taka pora, że najwięcej jeżdżą! Ba, żeby to tak moja taksóweczka mogła pofrunąć, tobyśmy dopiero szybko zajechali na Kwiatową, co, córeczko?

I odwrócił się do Karolci.

— Pewnie że to byłoby dobrze — grzecznie przytaknęła Karolcia — ja też bym chciała, żeby mogła fruwać!

W tejże chwili Karolcia uczuła jakby lekkie szarpnięcie i ze zdumieniem zauważyła, że taksówka powoli zaczęła unosić się rozkosznie w takt lekkich podskoków fruwej taksówki.

Wobec tego Karolcia zwróciła się do kierowcy:

— Proszę pana!

Ale kierowca tylko obejrzał się, uśmiechnął porozumiewawczo i mruknął:

— Dobra jest!

Właśnie zgrabnie ominął wieżę ratuszową i skręcił ponad dachem jakiegoś wysokiego domu.

— Ależ to jest ten wielki dom towarowy — zdziwiła się Karolcia.

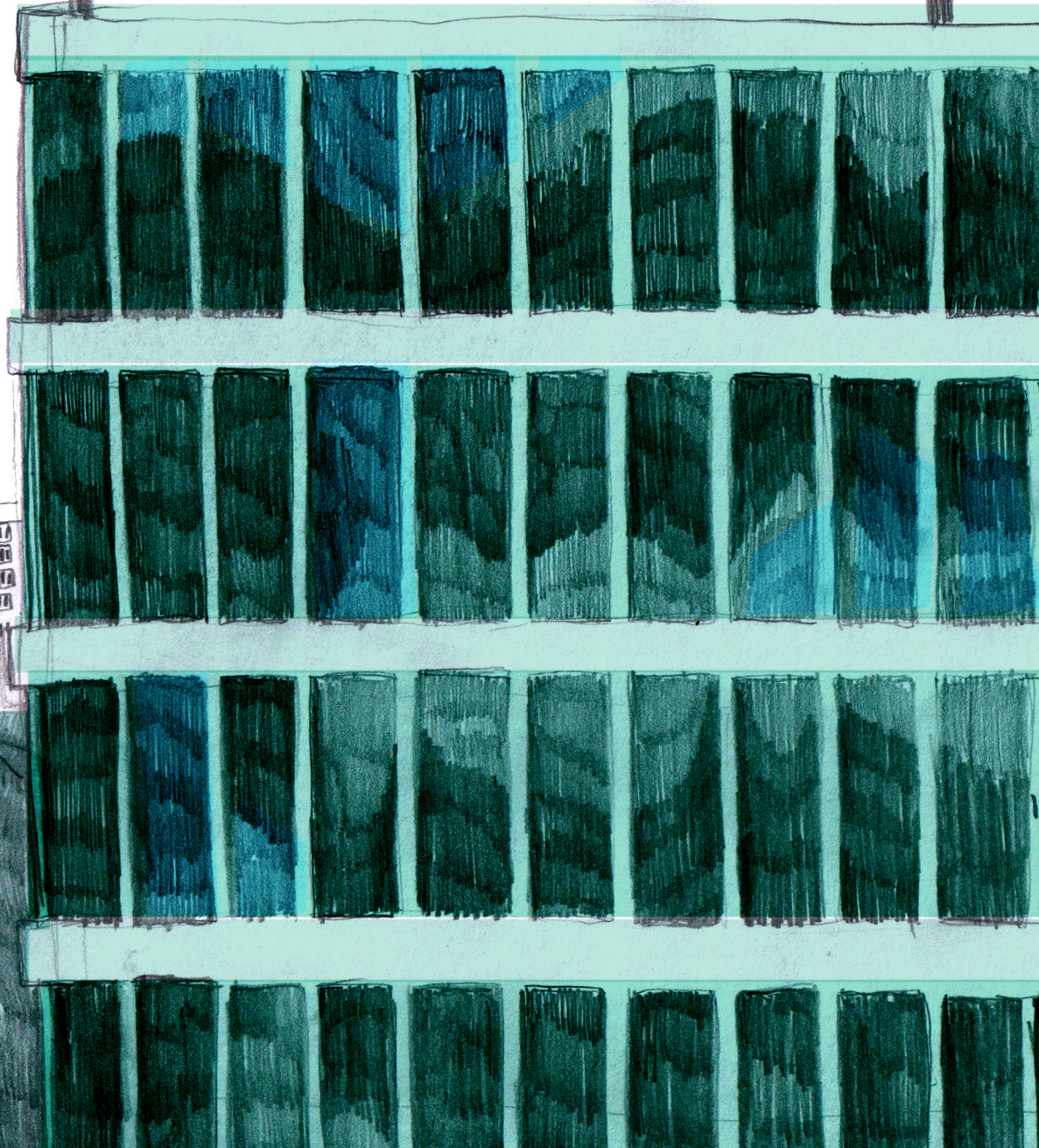
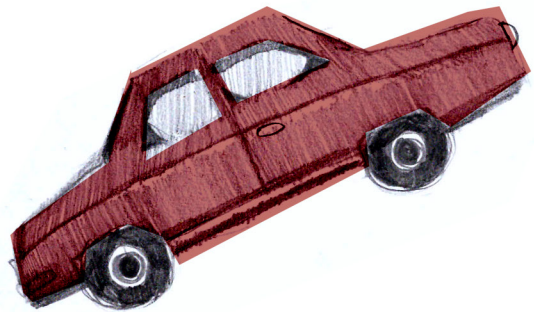
Kierowca zgodnie skinął głową i zapytał uprzejmie:

— Czy masz ochotę tu wstąpić? Jeśli chcesz, możemy zatrzymać się na chwilę.

— Och! Ooooooczywiście... — wyjąkała Karolcia — ale czy to będzie możliwe?

— Naturalnie, zupełnie możliwe — zapewnił kierowca. Karolcia spojrzała niespokojnie na ciotkę, która właśnie obudziła się.

DOM TOWAROWY



— Zdaje się, że macie ochotę zawadzić o dom towarowy?

— zauważyła pogodnie. Po czym dodała ochotczo: — Ja też chętnie tu zajrzę! Chciałabym kupić sobie kapelusz!

Wobec tego zatrzymamy się na wysokości trzeciego piętra. To będzie najwygodniej — zdecydował kierowca.

— Będę panu niezmiernie wdzięczna — odpowiedziała grzecznie ciotka Agata — właśnie marzę o kapeluszu z fiołkami!

Ledwie to powiedziała, taksówka zawisła na wysokości trzeciego piętra i zgrabnie wjechała do wnętrza przez otwarte, wielkie okno. Nikogo to jakoś nie zdziwiło.

— Podjechałem tak, aby było wygodniej — kierowca był bardzo z siebie zadowolony. — Poczekam tu.

— Chciałabym tylko zobaczyć pokoik dla lalki — wyjaśniła Karolcia, gdy tymczasem ciotka Agata wylądowała już przy ladzie z kapeluszami i przymierzała wszystkie po kolei. Pokoiki dla lalek — w dziale zabawek — były niezwykle piękne. Zwłaszcza jeden z różowymi mebelkami był po prostu prześliczny!

— Czy chcesz coś kupić? — spytała jedna ze sprzedających.

— Kup ten różowy pokoik dla lalek. Widzisz? Ma elektryczne oświetlenie. A przy pokoiku jest łazienka. Kup ten pokoik. Albo może wolisz tę lalkę? Patrz, jakie ma wspaniałe włosy. Można je nie tylko czesać, ale i myć. Przyjemnie byłoby mieć lalkę, której można umyć głowę, prawda?

— Prawda — szepnęła zachwycona Karolcia.

— No, więc kup sobie coś z tych zabawek.

— Kiedy nie mam pieniędzy — wyznała z zawstyżeniem Karolcia.

— Och — sprzedająca machnęła ręką i uśmiechnęła się

dziwnie .

— pieniądze wcale nie są potrzebne. Wystarczy, jeśli mi po prostu dasz ten niebieski koralik, który dziś znalazłaś... Karolcia dopiero teraz przypomniała sobie o koraliku. Skąd ta pani wie o nim?... Pełna zdumienia sięgnęła do kieszeni, gdzie go wsunęła, gdy w tej chwili podbiegł do niej kierowca taksówki. Ku wielkiemu zdziwieniu Karolci krzyknął srogo do sprzedającej:

— Co, chciałabyś zdobyć koralik, prawda? Ale to ci się nie uda! O nie! Ja cię znam!

A potem chwycił mocno Karolcię za rękę i pociągnął za sobą.

— Musimy zaraz stąd odjechać! Oj, Karolciu — pokiwał głową

— jak można być tak lekkomyślną! Miałem wrażenie, że gotowa jesteś oddać swój niebieski koralik Filomenie.

— Filomenie? — zdumiała się Karolcia. — Kto to jest?

— Jak to, nie wiesz? — kierowca zdenerwował się ogromnie.

— Nie wiesz, że to jest najbardziej chytra z czarownic? Znam ją, moja droga! Ja też, kiedy byłem małym chłopaczkiem, miałem... niebieski koralik. I też taka sama Filomena, kropka w kropkę podobna, chciała mi go zabrać... Uciekajmy! — krzyknął naraz. Biegł teraz szybko, ciągnąc Karolcię za sobą. Po drodze zawadzili o dział kapeluszy damskich, przy którym ciotka Agata z rozmarzonym wyrazem twarzy przymierzała właśnie trochę śmieszny kapelusik z fiołkami.

— Nie mamy ani chwili do stracenia! — powiedział do ciotki kierowca i nie czekając, co na to odpowie, chwycił ją za rękę. Motor taksówki warczał niecierpliwie, gdy wszyscy troje znaleźli się już w jej wnętrzu.

— Ruszamy do domu! — zawołał kierowca. — Ucieka-



jmy! Filomena nas goni!

— To jest, czarownica, ciociu! — wyjaśniła śpiesznie Karolcia.

Rzeczywiście! Od strony lady z zabawkami biegła z rozwianym włosom Filomena. Dopiero teraz Karolcia zauważyła, że ma bardzo długi, spiczasty nos, trochę podobny do bocianiego dzioba. Wyciągała w stronę Karolci szponiaste ręce i coś wołała. Ale nie wiadomo co, gdyż w domu towarowym jak zawsze panował ogromny hałas i nie można było dosłyszeć niczyjego głosu. Na szczęście Filomena biegła na próżno, gdyż taksówka już szybowwała znów ponad ulicami.



Karolcia koniecznie chciała dowiedzieć się od kierowcy czegoś więcej o tej Filomenie i o koraliku, ale niestety przeszkodziła jej w tym

ciotka Agata. Zachwycona swoim kapelusikiem z fiołkami przeglądała się ciągle w lusterku i żądała, aby Karolcia i kierowca podziwiali jej elegancję, zwłaszcza przypięte do kapelusika kwiatki.

— Ależ one są świeże i pachną! — zauważyła ze zdumieniem Karolcia. Ciotka Agata nie traktowała jednak tego faktu jako czegoś nadzwyczajnego, tylko po prostu uśmiechała się i nuciła jakąś piosenkę. Naraz taksówka silnie szarpnęła.

— Co się stało? — zdziwiła się Karolcia.

— Przyjechaliśmy już na miejsce — powiedział kierowca — oto ulica Kwiatowa numer dwadzieścia, tak jak panie sobie życzyły. Należy się dziewięć złotych i dwadzieścia groszy.

Ciotka Agata zaraz zaczęła szperać w swojej dużej torbie i szukać drobnych, a kiedy już zapłaciła, szybko wygramoliła się z taksówki.

— Prędkiej, prędkiej, Karolciu! Mama i tatuś już na pewno czekają na nas!

Karolcia chciała jeszcze koniecznie porozmawiać z kierowcą, ale gdzie tam! Ciotka Agata schwyciła co prędkiej Karolcię za rękę i pociągnęła ją w stronę nowego domu. Karolcia zdążyła tylko jeszcze odwrócić głowę w stronę taksówkarza.

Uśmiechnął się do niej i kiwnął głową na pożegnanie, po czym odjechał.

— Musimy poszukać teraz tego naszego mieszkania — mruzczała tymczasem ciotka — zaraz, zaraz, mieszkania

siedem, to chyba będzie tu! O, jest nawet dzwonek. — I ciotka Agata energicznie nacisnęła guziczek. Po krótkiej chwili w otwartych drzwiach ukazała się mama.

— O, jesteście nareszcie! Cóżście tak długo jechały?

Karolcia już miała zamiar opowiedzieć coś niecoś o niezwyklej jeździe i wytłumaczyć jakoś tę wizytę w domu towarowym, gdy ciotka Agata jak gdyby nigdy nic powiedziała:

— Jak to: długo? Taksówka jechała jak szalona.

— Ale cóż to, Agatko? Masz jakiś nowy kapelusz? — zdziwiła się mama. — A te kwiatki przy nim? Przecież to żywe fiołki, tylko że już zwiędły.

— Nie mam pojęcia, skąd ten kapelusz wziął się na mojej głowie — wyznała z ogromnym zdumieniem ciotka.

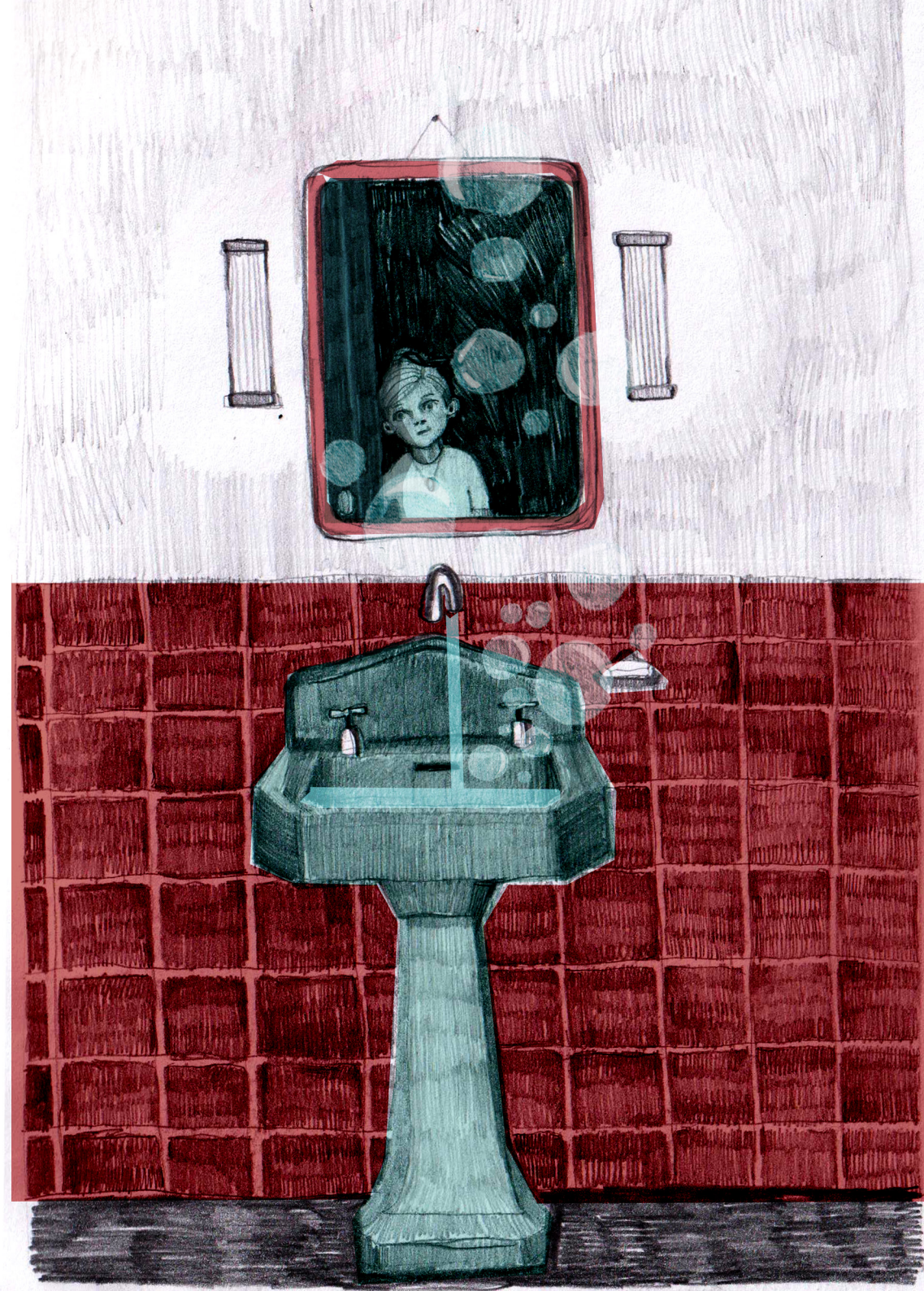
Trochę o sąsiadach i deszczowym dniu

Na nowym mieszkaniu jest zupełnie przyjemnie. Można by nawet powiedzieć, że bardzo przyjemnie. Przede wszystkim jest większe od dawnego i ma, jak już było powiedziane, duże okno i balkon, które wychodzą na ulicę, i dwa okna, które wychodzą na podwórze — to znaczy na ładne, rozległe trawniki, na których są klomby z kwiatkami i przy których stoją ławeczki.

A przez to okno i przez balkon, który wychodzi na ulicę, można widzieć wszystko, co się na niej dzieje. Nie jest to taka najbardziej ruchliwa ulica, ale w każdym razie jest zawsze na niej sporo przechodniów, a poza tym przejeżdża autobus, przystanek zaś znajduje się prawie pod samym balkonem. Więc jak z tego widać — mieszkanie to posiada sporo zalet, zwłaszcza jeśli się doda, że ma również piękną łazienkę, w której Karolcia starannie i często myje ręce. Gdyż nie ma nic przyjemniejszego nad robienie piany z mydła i splukiwanie jej.

Mówiąc o zaletach mieszkania, nie wolno też pominąć tak ważnej rzeczy jak sąsiedztwo. Otóż zarówno w domu, w którym mieszka Karolcia, jak i w sąsiednich, przylegających blokach nie brak jest dzieci. Naturalnie że nie o wszystkich będziemy tu mówić, ale tylko o tych, z którymi Karolcia zawarła znajomość.

Chyba więc zacniemy od najbliższych sąsiadów. Takich najbliższych to jest troje. Z tej trójki przede wszystkim należy wymienić Piotra. Piotr mieszka na drugim piętrze, tuż nad Karolcią. Mimo że jest chłopcem, i to o pół roku starszym od Karolci, i przeszedł już nawet do czwartej



klasy — bardzo się z Karolcią zaprzyjaźnił. Aby coś jeszcze więcej było o nim wiadomo — powiemy, że jest od Karolci wyższy, ma jasne włosy, interesuje się geografią oraz bardzo lubi czytać. Drugim takim sąsiadem, z którym Karolcia zawarła przyjaźń, jest Leszek. Leszek mieszka na drugim piętrze, po przeciwnej stronie klatki schodowej, i ma bardzo miłą siostrzyczkę.

Siostrzyczka nazywa się Jania i jeszcze nawet nie chodzi do szkoły; dopiero po wakacjach będzie chodziła do pierwszej klasy. Tak więc się składa, że w najbliższym sąsiedztwie mieszkają chłopcy. Dziewczynki, z którymi Karolcia też trochę się przyjaźni i bawi — mieszkają w sąsiednich blokach; tam również mieszkają chłopcy, ale tacy niezbyt sympatyczni. A jeśli chodzi o dziewczynki, to jednę z nich nazywa się Dorota, ma czarne warkocze i jest trochę starsza od Karolci, a druga nazywa się Agasia, ma włosy związane na czubku głowy w koński ogon i ma akurat tyle lat, ile ma Karolcia. Obydwie bardzo lubią stawać przed wystawą wielkiego sklepu z zabawkami po przeciwnej stronie ulicy i opowiadać, co która chciałaby mieć.

Zdaje się, że należałoby też wspomnieć i o pewnych sąsiadach, takich dalszych. Są to dwaj chłopcy. Karolcia nie lubi ich, ponieważ ją przezywają. Ale najgorsze jest to, że naprawdę, ale to naprawdę napadają na inne dzieci. Ci chłopcy to są dwaj bracia — jeden nazywa się Waldek, a drugi Robert.

To byłoby wszystko o sąsiadach. Teraz należałoby jeszcze dodać, że od kilku dni ktoś jeszcze przybył do rodziny Karolci.

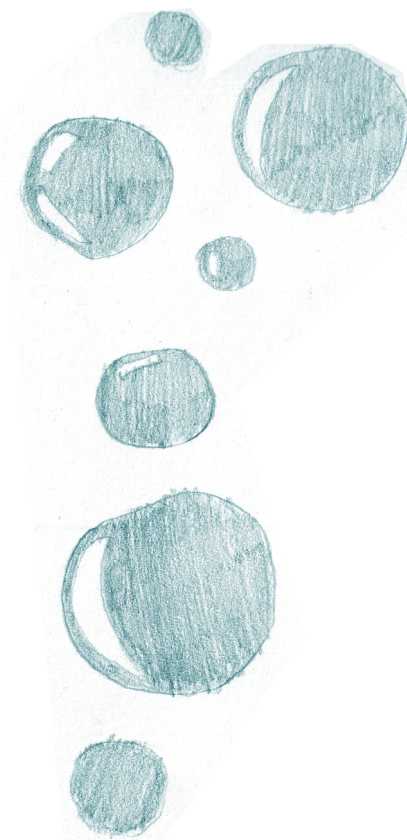
— jest to nieduży kotek, szary z białą mordką i różowym

nosem, bardzo wąsaty i zawsze chętny do zabawy. Kotek nazywa się Gracja. Tak go nazwała ciotka Agata, zaznaczając przy tym, że jest to właściwie kotka, która na pewno ciągle będzie miała kocięta. Ale na razie przepowiednie ciotki Agaty nie sprawdzają się. Gracja jest jeszcze przecież sama kocim dzieckiem. Gracja lubi o zmroku przebiegać w dzikich susach przez wszystkie pokoje, a w dzień chętnie siedzi na oknie lub balkonie i stamtąd obserwuje biegającego po podwórzu, nieco krzykliwego, psa pani dozorczyńni.

Pies jest nieduży, bardzo gruby, ma wesoło zakręcony ogonek i nazywa się Nero. Jeśli Nero jest już zbyt hałaśliwy, Gracja podnosi się, wygina grzbiet i otwierając szeroko różowy pyszczyk prychnie i mówi coś w rodzaju: „Hiii”, co zresztą również przypomina syk węża.

W tej chwili to jednak nie jest najważniejsze. Najważniejszy był pewien deszczowy dzień — jeden z takich dni, kiedy na świecie jest bardzo nieprzyjemnie. Niebo było szare i tak było ciemno, że rano, mimo że to lato, zapalono światło. Deszcz padał drobnutki, ale na ulicy robiły się już spore kałuże.

— Nie ma bułek — zauważyła zaraz z samego rana krzątająca się w kuchni ciotka Agata. — Ale nie wiem, czy można posłać Karolcię, bo deszcz pada. Żeby znów bardzo nie zmokła.



Mama i tatuś szykowali się do wyjścia i jak zawsze śpieszyli się.

— Oczywiście, że Karolcia może pójść po bułki! — zawołała z łazienki mama. — Tylko niech włoży ten stary płaszczyk.

Karolcia trochę niechętnie słucha tego polecenia. Ponieważ jest brzydko na świecie i wszyscy w domu śpieszą się do pracy, więc nie będzie można zatrzymać się po drodze z piekarni przed wystawą tego sklepu, gdzie są najładniejsze zabawki w całym mieście. Ale trudno.

Ciotka Agata narzeka ciągle na reumatyzm, więc nie może pójść, tatuś i mama nie mają czasu, więc przyniesienie bułek jest obowiązkiem Karolci. Dziś, jak już było powiedziane, Karolcia rezygnuje z oględzin wystaw, szybko wraca do domu i wręcza ciotce Agacie siatkę z pieczywem.

— Doskonale, ładne bułeczki przyniosłaś — chwali ciotka Agata — a resztę masz? Nie zgubiłaś?

— Oczywiście, że nie zgubiłam! — oburza się Karolcia. Drobne monety pobrzękują w kieszeni płaszczyka. Karolcia wyjmuje je. Zaraz, cóż to jest jeszcze na dzień kieszeni? Jest to coś małego, coś, co trudno jest wydobyć, gdyż wsunęło się za podszewkę. Zaraz, zaraz! O! Już jest! Przecież to błękitny koralik!!!

— Karolciu! — woła tymczasem mama — myj ręce i siadaj do śniadania!

— Już idę — odpowiada Karolcia i wpada do łazienki. Na otwartej dłoni trzyma teraz jaśniejący błękitem koralik. Jak to się stało, że zapomniała o nim? Zaraz, zaraz, jak to było... — Umyję go — postanawia naraz Karolcia. I mocno mydli ręce, a na środku prawej dłoni trzyma koralik.

Coraz więcej robi się mydlanej piany, a bańki rosną a rosną. — Ach, jak to przyjemnie — odzywa się naraz jakiś cieniutki, ale miły głosik — jak przyjemnie! Od wieków chyba nie kąpałem się!...

Karolcia obejrzała się niespokojnie, ale w łazience nie było nikogo.

— Można mnie jeszcze raz namydlić tym pachnącym mydłem — odezwał się głosik. Był teraz rozmarzony i poufały.

— Czy do mnie to mówisz? — spytała Karolcia i zaraz dodała:

— I w ogóle nie wiem, kto jesteś i dlaczego cię nie widzę! — Oczywiście, że do ciebie mówię — w głosie czuło się teraz jakby lekkie oburzenie — czy doprawdy nie poznajesz mnie?

Sama przecież wyciągnęłaś mnie z tej wstrętnej szpary...

— Ach, to ty!... Niebieski koraliczku! — szepnęła ze zdumieniem Karolcia, szeroko otwierając oczy.

— No, nareszcie zdecydowałaś się mnie poznać — gderał głosik, wyraźnie jednak już udobruchany. — Jestem ci bardzo wdzięczny, że mnie wydobyłaś z tej szpary w podłodze pod ciemną szafą, gdzie zresztą przeleżałem chyba kilka lat. A może nawet kilkadziesiąt. Schowałem się tam wtedy przed Filomeną, która mnie goniła.

— Przed Filomeną? — zdziwiła się Karolcia. I zaraz sobie przypomniała: — Aha! Czekaj! Filomena, Filomena... Skąd znam to imię?..

— Ojej — głosik był teraz zniecierpliwiony. — Lepiej słuchaj uważnie, bo muszę z tobą pomówić...

— Tak — zaczęła Karolcia niepewnie — ale jakoś trudno rozmawiać z tobą i tak dziwnie. Jesteś taki maleńki...



— Ach, to ci przeszkadza — głosik śmiał się cichutko i srebrzyście — na to znajdzie się zaraz rada. Patrz uważnie!

Teraz zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Koralek zaczął rosnąć i powiększać się, przy czym jednocześnie stawał się coraz mniej błękitny, a za to coraz bardziej przezroczysty. W końcu wyglądał jak spora bańka mydlana. Wtedy zaczął podskakiwać na dłoni Karolci.

— Och, jak to dobrze trochę tak się rozciągnąć i poruszać. Tyle lat byłem nieruchomy. Pozwól, że podskoczę jeszcze ze dwa razy.

— Proszę — zgodziła się zdumiona Karolcia.

Mieniąca się błękitnie bańka mydlana, która przedtem była koralekiem, podskoczyła wesoło i nawet nie dwa razy, tylko co najmniej pięć, a potem znów przysiadła na dłoni Karolci.

— Teraz muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego — głosik brzmiał uroczyście. — Słuchaj, Karolciu, za chwilę znów stanę się koralekiem, gdyż nie mogę być tak długo bańką mydlaną, zdarza mi się to bardzo rzadko. Błagam cię, nie upuść mnie na podłogę, bo potoczę się do jakiejś ciemnej dziury, gdzie przeleżę znowu dziesiątki lat. Ale chcę, żebyś pamiętała o jednej niezmiernie ważnej rzeczy. Otóż jestem gotów spełnić twoje wszystkie życzenia...

— Spełnić moje wszystkie życzenia? — zdziwiła się niezmiernie Karolcia. — Jak to? Nie rozumiem...

— Oj, Karolciu! — głosik był zniecierpliwiony. — Słuchaj uważnie, przecież mówię wyraźnie: mogę spełnić każde życzenie człowieka, który trzyma mnie w swej dłoni.

— Karolciu! Karolciu! — rozległ się nagle z pokoju głos mamy. — Co ty tam robisz tyle czasu w łazience! Skończ

z tym chlapaniem się...

— O Boże! — szepnęła Karolcia. — Mama! Mama mnie woła. Mieniąca się bańka mydlana z cichym westchnieniem zmieniała się znowu w błękitny koralik, który zdołał jeszcze szepnąć:

— Błagam cię, wytrzymaj mnie teraz do sucha i schowaj dobrze. Aha, i jak ci się podobała historia z taksówką?...

— Ach, więc to była twoja sprawka! — ucieszyła się Karolcia.

— Karolciu! — głos mamy był coraz bardziej zniecierpliwiony.

— Idę! Idę! — odkrzyknęła Karolcia. Wycierała teraz starannie koralik, który jaśniał przedziwnym błękitem.

— Karolciu, czy już umyłaś wreszcie ręce? — Mama dość gwałtownie otworzyła drzwi łazienki.

— Umyłam — powiedziała Karolcia.

— No to proszę cię, zjedz wreszcie śniadanie. Ciotka Agata denerwuje się, że wszystko stygnie. Proszę zjeść owsiankę, bez żadnego wykrzywiania się.

— Dobrze, mamó, zaraz zjem — zgodziła się Karolcia, ściskając mocno w dłoni błękitny koralik. Potem, tak na próbę, szybko w myśli wypowiedziała życzenie. Niech owsianka w jednej chwili zniknie z talerza!

— Ho, ho, zdaje się, że nasza Karolcia nareszcie polubiła tę pyszną, pożywną zupę — ucieszyła się ciotka, widząc pusty talerz.

— Co z nią teraz zrobimy? Trzeba będzie chodzić od mieszkania do mieszkania i pytać, czyja kura. Też kłopot. „Ojej, niech już lepiej ta kura zniknie” — pomyślała Karolcia. — Chciałabym, żeby nie musiała jeździć po tę kurę”. W tej chwili w kuchni rozległo się donośne gdakanie —

Co było dalej

„Nie wiem, czy jestem zupełnie w porządku — myśli wobec tego Karolcia — bo przecież ciotka Agata jest pewna, że zjadłam owsiankę i że będę wskutek tego silna i zdrowa. A ja, po pierwsze, jestem głodna, a po drugie, oszukałam pocziwą ciotkę. Na przyszłość muszę jakoś inaczej urządzać się z tym jedzeniem”.

A tu ciotka w dodatku jeszcze zaczyna chwalić Karolcię wobec tatusia i mamy, że niby tak grzecznie wszystko zjadła. „Jutro już jednak zjem owsiankę — postanawia ze skrucho Karolcia — ale czy mogę używać pomocy koralika do takich mało ważnych rzeczy?...”

Tymczasem w przedpokoju trzasnęły drzwi wejściowe. To tatuś wyszedł do biura. Mama krzątała się jeszcze i ubierała, a ciotka Agata miała właśnie zamiar pójść po zakupy.

— Nie wiem, czy dziś jeszcze coś dobrego dostanę — biadała.

— Chciałam kupić kurę, ale gdy pomyślę, że trzebajechać aż na rynek w taki deszcz!...

„Ciotka Agata naprawdę jest bardzo dobra i troszczy się o nas piękna kokosz przechadzała się po stole, dziobiąc z zadowoleniem okruchy chleba na obrusie.

— Żywa kura! A sio! — krzyknęła z niepomiernym zdumieniem ciotka Agata. — Skąd się tu wzięła?! Widać przyfrunęła przez okno od sąsiadów, że też ludzie nie pilnują swego drobiu!

Mama wcale nie była zachwycona. wobec tego Karolcia, ściskając w ręce koralik. Życzenie jej zostało oczywiście



natychmiast spełnione.

— Jak to, już nie ma tej kury?

— dziwiła się tymczasem ciotka, która znów zajrzała do kuchni.

— Wyleciała z powrotem czy co? No, to ja idę po sprawunki. Trzeba coś kupić na obiad. Drzwi za ciotką Agatą zamknęły się. Mama również ubierała się do wyjścia. Spieszyła się jak zawsze.

— Czy prędko wrócisz, mamó? — spytała Karolcia.

— Ach, nie wiem — westchnęła mama. — Muszę po wyjściu ze szpitala (mama pracowała w szpitalu) iść jeszcze załatwić parę spraw.

Gdybyś była starsza, tobyś mogła mnie wyręczyć. Ale jesteś jeszcze na to za mała. — I mama przytuliła Karolcię do siebie i pocałowała ją.

— Mamusiu, chciałabym jak najprędzej być dorosła, aby ci pomagać we wszystkim! — powiedziała z zapałem Karolcia również całując mamę w policzek. Lecz zanim to niebaczone zdanie zostało wypowiedziane do końca, Karolcia poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego.

— Chętnie ci pomogę, mamó — powtórzyła. I naraz zauważyła, że jest wyższa od mamy.

— Przepraszam, ale nie wiem, kto pani jest! — powiedziała ze zdumieniem mama, odpychając lekko Karolcię.

— Pani pewnie szuka naszych sąsiadów? Moja córeczka zaraz panią zaprowadzi do nich... Karolciu!...

Karolcia w tej chwili spojrzała w wiszące naprzeciwko lustro i przekonała się, że jest wysoką osobą, ubraną zu-

pełnie dorośle, i że nawet ma na głowie kapelusz.

— Karolciu — powtórzyła mama — gdzie jesteś?

— Przecież tu jestem, mamó — powiedziała Karolcia i chciała znów przytulić się do mamy. — Czy nie poznajesz mnie, mamó? Tylko jestem zaczarowana, i ta kura też była zaczarowana!...

— Ależ czego pani sobie życzy?! — krzyknęła przestraszona mama. — Przepraszam, aleja pani nie znam!

— Mamó, kiedy to ja! — powtórzyła Karolcia. I od razu chciała poprosić koralik, żeby znów mogła stać się małą Karolcią, gdy naraz z przerażeniem spostrzegła, że nie wie, gdzie się podział. Co teraz będzie?

Tymczasem mama denerwowała się:

— Ja pani nie znam! — powtarzała. — Pani się omyliła!

— Kiedy ja jestem Karolcia, mamó, przyjrzyj mi się! — wołała znów Karolcia. — Poczekaj, niech tylko znajdę koralik!

— O Boże — jęknęła mama — ja się bardzo śpieszę, proszę pani, muszę już wyjść do pracy. Pani na pewno przysłała do kogoś innego. — To mówiąc otworzyła drzwi.



Gdzie jest koralik?

„Muszę zaraz z powrotem stać się małą dziewczynką — myślała zrozpaczona Karolcia stojąc pod drzwiami, które zamknęła za nią mama. — Ale co będzie, jeśli nie znajdę koralika? A jeśli upadł na podłogę? Mama już za nic na świecie nie wpuści mnie do mieszkania! A koralik albo wpadnie znów do jakiejś szpary, albo po prostu ciotka Agata wymiecie go, kiedy będzie robiła porządki! Co począć? Ale swoją drogą to śmieszne, że mama mnie nie poznała!”

Naraz na podwórku ktoś zawołał:

— Karolciu! Karolciu! Chodź do nas!

— Idę! — odpowiedziała ochotczo Karolcia zapominając o swoim zmartwieniu i chciała zbiec szybko ze schodów. Niestety, przeszkadzały jej w tym wysokie obcasy, a spódnica plątała się naokoło nóg. Wobec tego Karolcia zsunęła się po poręczy. Po drodze wpadła na jakiegoś chłopca. Był to Leszek.

Przystanął ogromnie zdumiony i powiedział grzecznie:

— Przepraszam panią!

— Co ty, Leszek! — chciała powiedzieć Karolcia, ale zaraz przypomniała sobie, że jest dorosła, więc po prostu poszła już spokojnie dalej.

Na podwórzu pełno było dzieci. Dorota i Agasia bawiły się w klasy.

— Dzień dobry! — ukłoniły się grzecznie Karolci.

— Dzień dobry! — odpowiedziała Karolcia, dusząc się ze śmiechu. Przystanąła i nie wiedziała, co robić. A tymczasem Dorota i Agasia grały dalej. Dorota jak zawsze oszuki-

wała. Nie, tego już było za dużo! Karolcia nie wytrzymała. — Nie daj się oszukiwać, Agasiu! — krzyknęła. — Dorota wcale nie trafiła do nieba! Sama widziałam!

— Ja nie trafiłam do nieba? Ja, proszę pani? — oburzyła się Dorota.

— Naturalnie, że nie trafiłaś — powtórzyła Karolcia. — Ja ci pokażę, jak skakałaś.

I w tej chwili Karolcia uniosła dwoma rękami spódnice, aby jej nie przeszkadzała, i zaczęła pokazywać, jak skakała Dorota.

I tak była przejęta tym skakaniem na jednej nodze, że nawet nie zauważyła, że gromadzi się wokół coraz więcej dzieci i dorosłych, którzy przyglądają się jej ze zdumieniem. Naraz usłyszała głos mamy:

— Karolciu! Karolciu!

— Zaraz idę — odpowiedziała Karolcia i przestała skakać. Spojrzała do góry i zobaczyła mamę, wyglądającą przez okno. Zamachała do niej ręką.

— Zaraz wracam, mammo!

Ale mama okropnie się tylko zdenerwowała.

— Proszę pani! Przecież pani słyszy, że wołam moją córeczkę. Dziewczynki — teraz mama zwróciła się do Doroty i Agasi — czy nie widziałyście Karolci? Nie wiem, co się z nią dzieje!

„Biedna mama, tak się martwi — pomyślała Karolcia. — Muszę koniecznie jak najszybciej odnaleźć koralik i znów stać się małą dziewczynką. Ale jak go odnaleźć! A jeśli się nie znajdzie? Strach pomyśleć, co to będzie!”

To wszystko wydało się Karolci tak smutne, że rozplakała się rzewnie. Łzy spływały jej po policzkach i szlochała głośno. W dodatku była bardzo głodna. Nie zjadła

przecież owsianki, a tego już było za dużo! Karolcia nie wytrzymała.

— Nie daj się oszukiwać, Agasiu! — krzyknęła. — Dorota wcale nie trafiła do nieba! Sama widziałam!

— Ja nie trafiłam do nieba? Ja, proszę pani? — oburzyła się Dorota.

— Naturalnie, że nie trafiłaś — powtórzyła Karolcia. — Ja ci pokażę, jak skakałaś.

I w tej chwili Karolcia uniosła dwoma rękami spódnicę, aby jej nie przeszkadzała, i zaczęła pokazywać, jak skakała Dorota. I tak była przejęta tym skakaniem na jednej nodze, że nawet nie zauważyła, że gromadzi się wokół coraz więcej dzieci i dorosłych, którzy przyglądają się jej ze zdumieniem. Naraz usłyszała głos mamy:

— Karolciu! Karolciu!

— Zaraz idę — odpowiedziała Karolcia i przestała skakać. Spojrzała do góry i zobaczyła mamę, wyglądającą przez okno. Zamachała do niej ręką.

— Zaraz wracam, mammo!

Ale mama okropnie się tylko zdenerwowała.

— Proszę pani! Przecież pani słyszy, że wołam moją córeczkę.

Dziewczynki — teraz mama zwróciła się do Doroty i Agasi — czy nie widziałyście Karolci? Nie wiem, co się z nią dzieje!

„Biedna mama, tak się martwi — pomyślała Karolcia. — Muszę koniecznie jak najszybciej odnaleźć koralik i znów stać się małą dziewczynką. Ale jak go odnaleźć! A jeśli się nie znajdzie? Strach pomyśleć, co to będzie!”

To wszystko wydało się Karolci tak smutne, że rozplakała się rzewnie. Łzy spływały jej po policzkach i szlochała



głośno. W dodatku była bardzo głodna. Nie zjadła przecież owsianki, a potem nie było czasu na zjedzenie czegoś innego. Warto by wrócić do domu i poprosić o cośkolwiek dojedzenia. Tak, ale jak to zrobić? Przecież mama nie wpuści do domu obcej osoby.

Ale co to? Mama wychodzi z domu? Lepiej będzie schować się teraz do sąsiedniej sieni — i tak już nic nie pomoże tłumaczenie, że się jest jej córeczką, Karolcią. Mama pyta teraz dzieci na podwórku, czy nie widziały gdzie Karolci. Aha, a teraz idzie Leszek i mama też go wypytuje.

— Jeśli ją zobaczysz, Leszku, to powiedz, żeby zaraz wracała do domu. Drzwi są zamknięte, ale pewnie zaraz nadejdzie ciotka Agata. Ja już muszę pójść do szpitala.

— Prawda, zaraz przyjdzie ciotka Agata — ucieszyła się Karolcia — może wtedy uda mi się wejść do domu. Ale będę czekać na nią na górze, przy drzwiach.

Rzeczywiście, wkrótce nadeszła ciotka. Zasapana trochę, stanęła, aby wydobyć klucze, gdy Karolcia podeszła do niej.

— Ciociu, ty mnie poznajesz, prawda, ciociu Agato?

— Przepraszam, ale nie wiem, kto pani jest — powiedziała ciotka ku rozpaczcy Karolci.

— Ach, ciociu, przecież ja jestem Karolcia!

— Karolcia? — zdziwiła się ciotka Agata. — Zaraz, zaraz, a co za Karolcia? Bo nie mogę sobie przypomnieć.

Na szczęście ciotka w tej chwili znalazła już klucz i otworzyła drzwi. Wtedy Karolcia, nie mówiąc już nic więcej, dała potężnego susa, o ile na to pozwalały jej wysokie obcasy, i znalazła się w przedpokoju.

— Proszę pani! Co to ma znaczyć! Kto pani jest?! —

krzyczała przerażona tym wtargnięciem ciotka Agata.

Ale Karolcia nie odpowiedziała ani słowa, tylko rzuciła się jak mogła najszybciej w stronę łazienki. To tu pod drzwiami stała wtedy, kiedy dokonała się ta przemiana. Tu na pewno musiał upaść błękitny koralik. Szybko, szybko trzeba go znaleźć.

— A pani jest może córką tej mojej cioteczno-stryjeckiej siostry, która miała dziesięcioro dzieci? — zaczęła się dopytywać ciotka. Ale naraz spostrzegłszy, że niezajoma klęczy i szuka czegoś na podłodze — zupełnie zaniemówiła. Po chwili jednak odzyskała głos:

— Czego tu pani szuka, moja pani? Najpierw mówi pani, że jestem jej ciotką, a potem szuka czegoś w obcym mieszkaniu.

Wcale mi się to nie podoba!...

— Ja zaraz cioci wszystko wytłumaczę, — jęknęła z rozpaczą Karolcia — zaraz, zaraz...

Rozglądała się nadal po podłodze. Naraz krzyknęła radośnie:

— Jest! Jest!

— Boże święty, a co znów się stało? — zdumiała się teraz ciotka. Ale na to pytanie Karolcia nie dała na razie żadnej odpowiedzi, tylko szybko chwyciła błękitniejący tuż pod ścianą koralik.

— O, chcę znów być małą dziewczynką! — szepnęła.

I w tejże chwili na podłodze w przedpokoju siedziała Karolcia.

Ciotka Agata stanęła jak wryta.

— Karolcia? Co ty robisz na podłodze? Wstań, dziecko, przecież się pobrudzisz, a dopiero co włożyłaś czysty fartuszek. Ale czemu płaczesz?



— Bo, bo ja jestem bardzo głodna! — wyjąkała Karolcia. I potem dodała:

— I bardzo się cieszę, że jestem mała. Nie chcę być dorosła. — Dziecinko, co ci przychodzi do tej główki — roztkliwiła się ciotka Agata. — Zaraz, zaraz dam ci coś do jedzenia. Ale co się stało z tą panią, która wepchnęła się do mieszkania?

Opowiadała, że jestem jej ciotką czy coś takiego. Jakaś dziwna osoba. Czyżby sobie poszła?

— Poszła już, ciociu! — zapewniała Karolcia.

— To dobrze — ucieszyła się ciotka. — Bo to chyba pomyłona panienka. Ale wiesz co? Mówiła, że się nazywa Karolcia.

Karolcia zaczerwieniła się i nic nie odpowiedziała. Ciotka tymczasem już krzątała się w kuchni.

— A co byś zjadła? Może ugotować ci jajeczko?

— O, tak — ucieszyła się Karolcia. — Dwa jajka i dużo mleka, i dużo chleba z masłem.

— To umyj ręce i zaraz siadaj do stołu.

To była okazja, aby natychmiast pójść do łazienki. Karolcia obejrzała uważnie koralik i ponieważ zdawało się jej, że się znów zabrudził, namydliła go ostrożnie i obmyła wodą.

— Byłabyś mnie zgubiła — szepnął z wyrzutem koralik.

— Bardzo cię przepraszam — szepnęła Karolcia — to było naprawdę niechący. Wyobraź sobie, jaka byłam zrozpaczona. Muszę teraz dobrze cię schować, kochany mój koraliczku. — To rzekłszy Karolcia wytarła go starannie i zawinęła w chusteczkę do nosa. Szybko dokończyła mycia rąk i pobiegła do kuchni.

O ciociu Agato!

Przy obiedzie wszyscy w domu — oprócz Karolci — rozmawiali o niezwykłych historiach, które wydarzyły się tego dnia. To znaczy, mama i ciotka Agata opowiadały o tej dziwnej nieznanym.

— Jakaś nienormalna osoba — denerwowała się jeszcze mama — bałam się, żeby nie zrobiła krzywdy Karolci!

— E, na mnie nie zrobiła wrażenia takiej groźnej — broniła ciotka Agata — a nawet wiesz, co ci powiem, Aniu (bo mama ma na imię Ania) — otóż chwilami wydawała mi się nawet podobna trochę do naszej Karolci. Byłam przekonana, że to jakaś daleka nasza krewna.

— W każdym razie na przyszłość nie należy nie wiadomo kogo wpuszczać do mieszkania — zakończył rozmowę tatuś. I zaproponował mamie, że może pójdą do kina.

— Ja dziś chętnie zostanę w domu — oświadczyła ciotka. — Mam masę roboty.

— A Karolcia pójdzie wcześniej spać — zdecydowała mama.

— Uważam, że jest jakaś niewyraźna. Może się zaziębiła?! Czy nie sądzisz, Agatko, że należałoby jej zmierzyć temperaturę?

Ciotka Agata była tego samego zdania. Karolcia wyglądała niewyraźnie. Może to początki odry?

Nic więc nie pomogły zapewnienia Karolci, że czuje się zupełnie dobrze. Za ledwie zatrzasnęły się drzwi za mamą i tatusiem, ciotka Agata posłała łóżko i zaczęła namawiać Karolcię do położenia się. W końcu Karolcia zgodziła się — bo przypomniała sobie, że przecież

musi pomyśleć o całej masie niezmiernie ważnych rzeczy związanych z błękitny koralikiem — a jak wiadomo, o rzeczach poważnych zawsze najlepiej myśli się wtedy, kiedy się leży w łóżku. Powiedziała więc:

— Dobrze, ciociu, położę się. Ale małe światło będzie się długo paliło.

— Oczywiście, że małe światło będzie się długo paliło — skwapliwie przytaknęła ciotka — dopóki nie zaśniesz. A teraz zmierz temperaturę.

Ale temperatury żadnej nie było. Tylko czy można zasnąć, jeśli się ma takie kłopoty z koralikiem?

— Będę ostrożniej wypowiadała swoje życzenia — postanawia Karolcia — bo nie wiem, co może z tego wyniknąć. I chyba trzeba będzie nawlec go na jakąś bardzo mocną nitkę. Może najlepiej na jedwabną, różową. Jest taka w maminy koszyczku z przyborami do szycia. Tak, ta różowa nitka będzie doskonała. Mama kiedyś mówiła, że trudno ją zerwać. I przy tym można będzie nosić ją na szyi, pod sukienką. Ale to tak, żeby nikt nie zauważył. Bo dopiero zacznie się dopytywanie: A co to? A po co to?

Karolcia wydobyła z chusteczki koralik i położyła go na dłoni, żeby mu się dobrze przyjrzeć jeszcze raz.

— Nie śpisz, Karolciu? — zajrzała naraz przez drzwi ciotka Agata.

— Nie, ciociu, jeszcze nie jestem śpiąca.

— A może byś coś zjadła?

Bo ciotka Agata zawsze uważa, że jedzenie jest najlepszym środkiem na wszystkie choroby i na zmęczenie, i nawet na wszystkie kłopoty.

— Nie, ciociu, nie, dziękuję — broni się Karolcia.

— A może ci usmażyć omlecek?



— Nie, nie.

— A pokaż rękę, bo zdaje mi się, że jednak jesteś jakaś rozpalona. Cóż ty znowu masz tutaj? Aha, to jest, zdaje się, guziczek od twojej bluzeczki, zaraz ci go przyszyję, tylko przyniosę okulary.

— Kiedy to nie jest guziczek! — krzyknęła z przerażeniem Karolcia. — Niech ciocia go nie przyszywa!

— A mnie się zdaje, że to guziczek! — upierała się ciocia Agata, obracając w palcach koralik. — Że też ja nigdy nie pamiętam o tych moich okularach! I zawsze je gdzieś zostawię.

Żeby je miała na nosie, tobym zaraz zobaczyła, co to jest... Ledwie ciocia wypowiedziała te słowa — okulary cicho przyfrunęły z sąsiedniego pokoju i usadowiły się na jej nosie.

— No, patrzcie — zdziwiła się ciocia Agata — a przecież



je mam! Że też ich nie zauważyłam! Niech no ja się teraz przyjrzę, co to jest właściwie... Rzeczywiście! Miałaś rację! To wcale nie jest guziczek, tylko jakiś koralik. Nawet dość ładny. Tylko co komu po jednym koraliku? Ale słuchaj, Karolciu, powiedz tak naprawdę, a może byś coś zjadła? Nie? E, tylko tak mówisz, a na pewno zjadłabyś tak na przykład, no co?! No, powiedzmy, ciastko z kremem. Co? — Nie, nie — zaprzeczyła gwałtownie Karolcia — ale oddaj mi już, ciociu, ten mój koralik.

— Zaraz! Zaraz — ciotka obracała dalej koralik w palcach i mówiła teraz z rozmarzeniem — bo ja, przyznam ci się, chętnie bym zjadła ciastko z kremem. Nawet nie jedno. Przyznam ci się, że nawet więcej. Mogłabym zjeść całą tacę ciastek.

— Ach! Nie mów tego ciociu! — chciała krzyknąć Karolcia. Ale było już za późno.

Wokoło — na stoliku, na krześle, na półce z książkami, ba, nawet na oknie stały tace pełne ciastek z kremem. Co gorsza, przybывало ich coraz więcej.

— Karolciu — zawołała ze zdumieniem ciotka Agata — czyżby ktoś przysłał nam tyle ciastek? A może to są dziś moje imieniny, tylko ja o tym zapomniałam? Ach! Jakie pyszne ciastka! Spróbuj!

— Wcale nie spróbuję! — wrzasnęła niezupełnie grzecznie Karolcia. Ale zaraz poprawiła się: — To znaczy, bardzo dziękuję!

Zerwała się szybko z łóżka i błyskawicznie pochwyciła porzucony przez ciotkę na stoliku koralik. Tace z ciastkami napływały dalej. „Kiedyś przecież skończą się te ciastka — myślała Karolcia. — Właściwie szkoda, że nie ma dziś u nas gości”.

się po pokoju.

— Czy pani czegoś szuka? — spytała ciotka Agata.

— Nie, to znaczy tak — zaczęła plątać się nieznajoma. — Zgubiłam drobiazg, który właściwie nikomu i na nic nie jest potrzebny. Czy pani czasem go nie widziała? Taki nieduży niebieski koralik...

— Czy to ten? — spytała ciotka oblizując się i wzięła do ręki koralik, który Karolcia na chwilę położyła na swojej kołdrze.

— Tak! To ten! — wrzasnęła radośnie nieznajoma.

I Karolcia dopiero teraz spostrzegła, że jest ona niezmiernie podobna do tej-sprzedającej z działu zabawek w domu towarowym. Tak, ależ tak, ma taki sam długi, spiczasty nos!

Tak! Nie ulega najmniejszej wątpliwości! To jest Filomena! I Karolcia błyskawicznie w ostatniej chwili zdołała wyrwać koralik z ręki ciotki Agaty.

— To mój koralik — zasyczała Filomena (bowiem już nie ulegało wątpliwości, że to ona była). I wyciągając szponiaste palce powiedziała groźnie: — Oddaj mi natychmiast! Ale zanim zdołała go odebrać — Karolcia wypowiedziała w myśli życzenie, aby ciastka, goście i Filomena zniknęli jak najszybciej z jej pokoju, a ciotka Agata o wszystkim zapomniała. Zostało ono zresztą błyskawicznie spełnione. W pokoju paliła się niewielka lampka z abażurem — zwana przez Karolcię małym światłem, a w fotelu przy łóżku drzemała ciotka Agata, która zbudziła się po chwili, mrużąc:

— Ależ miałam śmieszny sen: śniły mi się ciastka z kremem. Było ich bardzo dużo. No, ale już śpij, Karolciu! Już pora.

Wtem jak na zamówienie ktoś zadzwonił. Karolcia zdętwiała. No tak, oczywiście nieopatrznie pomyślała o tych gościach, i już są.

— Pójdę otworzyć — powiedziała ciotka, skacząc między tacami pełnymi ciastek. Jak się okazało, dzwonił listonosz. — Dobry wieczór — powiedział — przechodziłem akurat w pobliżu i tak sobie pomyślałem — dlaczego nie miałbym państwa odwiedzić. No i odwiedziłem.

— Proszę bardzo — zapraszała gościnnie ciotka Agata — dobrze, że pan przyszedł, mamy dziś pyszne ciastka. Listonosz jadł ciastka bardzo szybko i co chwila jak kot oblizywał swoje długie i sumiaste wąsy, ale ciastek nie ubywało. „Co to będzie — myślała z trwogą Karolcia — jeśli on sam nie zje tych ciastek”.

Ale za chwilę znów rozległ się dzwonek i weszli jacyś państwo z oficyny z trojgiem dzieci.

— Przyszliśmy z wizytą — powiedzieli i od razu zabrali się do jedzenia.

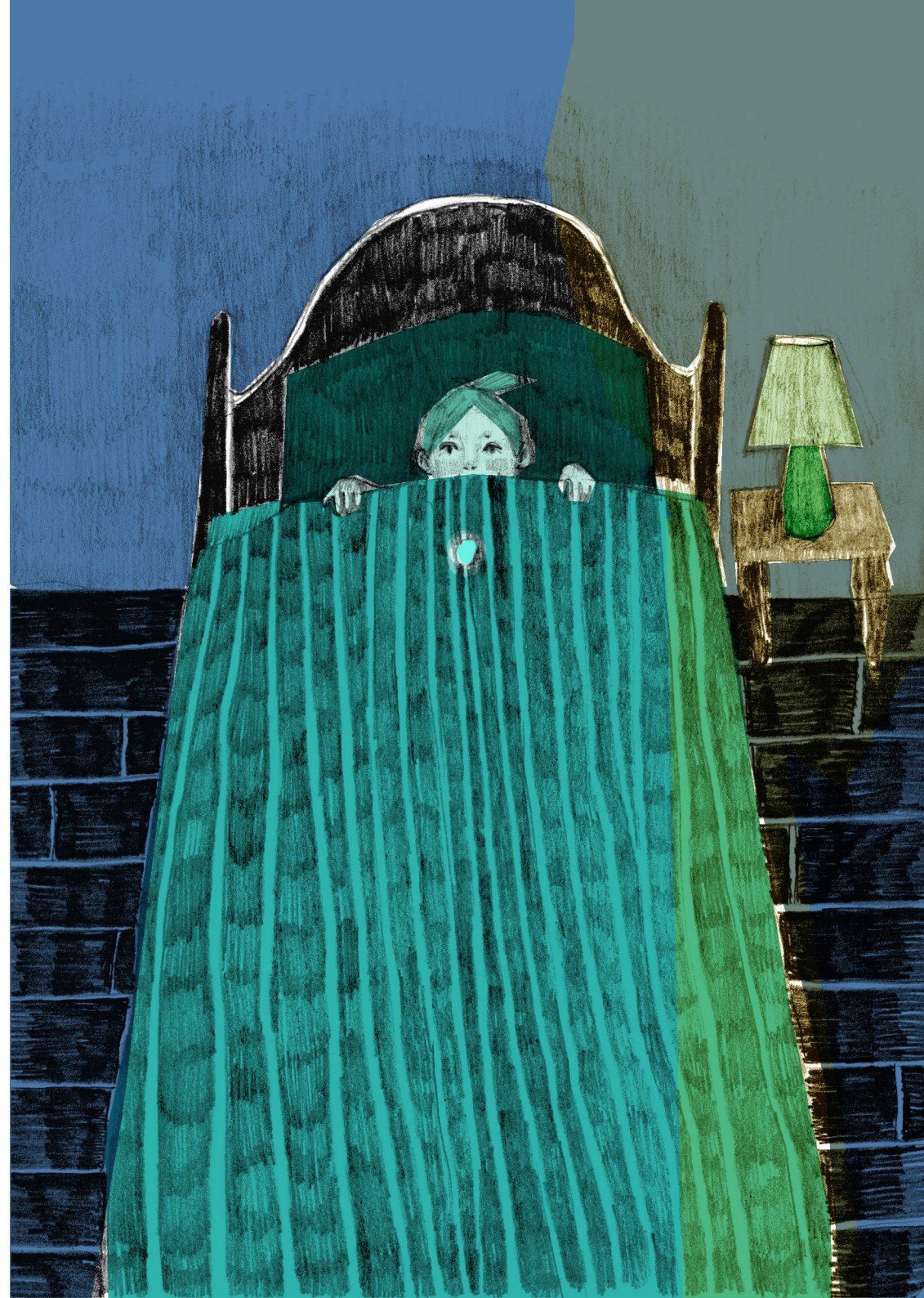
— Proszę, niech państwo pozwolą — zapraszała gościnnie ciotka. — Co prawda ja państwa jeszcze nie znam, ale to nic nie szkodzi.

Wtem znów ktoś zadzwonił. Była to jakaś pani w kapeluszu i z parasolem.

— Dzień dobry — powiedziała, choć to był już wieczór — czy nie przeszkadzam?

— Skądże znowu — odpowiedziała ciotka Agata, przy czym o mało co nie udławiła się, bo ciągle sama też jadła te ciastka. — Może pani spróbuje? Zdaje się, że dziś są moje imieniny.

— Dziękuję — kiwnęła głową pani w kapeluszu i z parasolem. I niby to jadła ciastka, ale jednocześnie rozglądała



Autobus i inne rzeczy

Kiedy nazajutrz Karolcia obudziła się, było już bardzo późno. Tatuś dawno poszedł do pracy, a mama szykowała się właśnie do wyjścia.

— No co, Karolciu? Nie boli cię głowa? — dopytywała się troskliwie. — Wczoraj wyglądałaś mi tak, jakby coś ci dolegało.

— Ale jestem naprawdę zupełnie zdrowa — zapewniała Karolcia. — A czy będę mogła zejść na podwórze?

— Tylko wtedy, kiedy przestanie padać. Widzisz przecież, że jest mokro na świecie.

Rzeczywiście, znów padał deszcz. Krople ściekały po szybach.

— No, to co ja będę dziś robiła przez cały dzień w domu?

— westchnęła Karolcia.

— No trudno, zajmij się czymś, Karolciu — powiedziała mama — za tydzień wyjedziemy na wieś. Ale wiesz, że musimy jeszcze poczekać, aż dostanę urlop. Może poczytasz albo może kto przyjdzie do ciebie pobawić się? Ale ja już muszę się śpieszyć. Żeby tylko autobus nie był zbyt zatłoczony... Nie lubię w czasie deszczu moknąć na przystanku.

Karolcia kiwa ze zrozumieniem głową. I postanawia, że poprosi koralik o pusty: autobus dla mamy. A koralik jest zawieszony na jedwabnej, mocnej nitce na Karolcinej szyi. Wtem słychać dzwonek przy drzwiach. To Piotr, ten z góry, przyszedł zapytać, czy mogą dziś bawić się razem.

— Naturalnie, że możecie — zgodziła się od razu mama.

— Tylko nie przewróćcie całego mieszkania do góry nogami. Zwłaszcza kiedy ciotka Agata wyjdzie po zakupy.

— E, nie, nie przewrócimy — zapewniają wobec tego Piotr i Karolcia, a mama mówi „do widzenia” — i szybko zbiega ze schodów, bo już późno.

— Chodź! Zobaczymy, czy mama wsiadła! — woła Karolcia do Piotra i pociąga go w stronę okna.

Na przystanku autobusowym stoi już tłum ludzi z parasolami. Właśnie nadjeżdża autobus i wszyscy ogromnie się pchają. No, naturalnie, mama nie wsiadła, bo ją odepchnęli. I stoi teraz biedulka, i moknie. Ale Karolcia uśmiecha się — mama na pewno zaraz wsiądzie, wystarczy przecież dotknąć koralika i wyszeptać życzenie. I oto w tejże samej chwili na przystanek zajeżdża pusty, zupełnie nowy, piękny, czerwony autobus. A mama jest pierwsza w kolejce i wsiada spokojnie i wygodnie. I sadowi się na najlepszym miejscu, przy oknie. Karolcia widzi to doskonale. A teraz już zaczyna się pchać cały tłum ludzi, którzy nadbiegli. O, jakaś staruszka usiłuje wsiąść, ale wstrętne, duże chłopaczysko odpychają.

— Oj! Dałbym mu nauczkę, gdybym tak w tej chwili był na dole! — odgraża się Piotr.

— Ja też chciałabym być na dole i dać mu porządną nauczkę!

— krzyknęła z zapałem, lecz niebacznie Karolcia.

W tejże chwili okno otworzyło się i Karolcia, ku niepomniernemu zdumieniu Piotra, uniosła się w powietrze, a następnie spłynęła na ulicę i znalazła się na przystanku autobusowym obok tego wstrętnego chłopaka. Teraz wszyscy na ulicy ze zdumieniem patrzyli, jak mała dziewczynka, uczesana w kitkę, podskoczyła do góry i trzasnęła dryblasą piąstką w nos, aż się przewrócił, pó czym szybko zaczęła uciekać.

— Ratunku! — darł się dryblas, trzymając się za nos, a Karolcia znów podskoczyła i uniosła się w powietrze, aby za chwilę znaleźć się w pokoju.

Piotr stał przy oknie z ustami otwartymi ze zdumienia. Potem przetarł szybko oczy rękami — bo mu się zdawało, że chyba to wszystko to tylko sen.

— Rozłożyłaś tego drągala jak należy — powiedział z uznaniem. — Tylko, zaraz, ja tego nie mogę zrozumieć, jakim sposobem znalazłaś się tam na dole i wróciłaś. Najwyraźniej widziałem, że fruwasz. A przecież człowiek nie może fruwać.

Musiło mi się to po prostu śnić!

— Wcale ci się nie śniło.

— Jak to? E, nie w mówisz przecież we mnie, że naprawdę fruwałaś. Przecież to niemożliwe.

— A dlaczego nie miałabym fruwać? — oburzyła się Karolcia.

— Mogę robić, jeśli zechcę, różne rzeczy. Nie wierzysz?

W tej chwili weszła do pokoju ciotka Agata.

— Wychodzę na chwilę do miasta — powiedziała. — Bądźcie przez ten czas grzeczni i nie otwierajcie nikomu drzwi. Ja mam klucze.

Ledwie zamknęły się drzwi za ciotką Agatą, Karolcia powtórzyła:

— Nie wierzysz? Mogę zrobić, co tylko mi się spodoba.

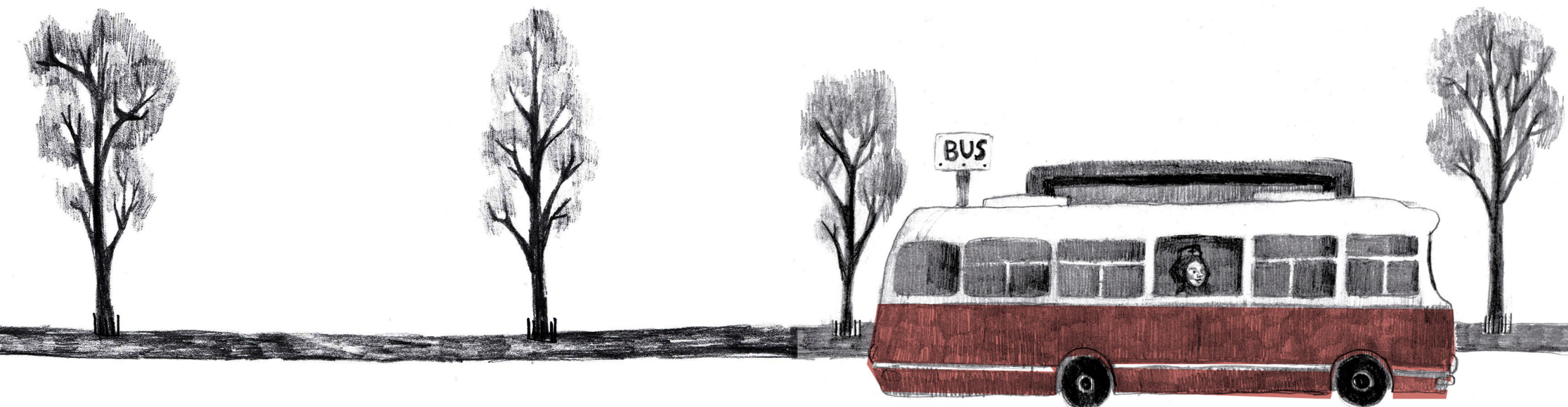
— Ee tam — mruknął powątpiewająco Piotr — tak tylko opowiadasz!

— Co? Ja opowiadam? Może chcesz się założyć?

— Pewnie, że mogę się założyć! Nawet o mój znaczek z Australii.

— E, co mi tam znaczek z Australii — Karolcia uważała, że teraz może założyć się o nie wiem co. — Jak przegrasz, dasz mi swój globus.

Ba, globus! Globus był największym skarbem Piotra i tak za byle co, lekkomyślnie, nie chciałby go oddać.



— Globus — powtórzył ze zgrozą. — O globus mógłbym się założyć, gdybyś na przykład potrafiła...

Tu Piotr zatrzymał się na chwilę, żeby wymyślić coś niezmiernie trudnego, coś, co właściwie byłoby niemożliwe do zrobienia.

— No, na przykład, czy potrafiłabyś...

— Ojej, powiedziała, że wszystko potrafię — zawołała uniesiona pychą Karolcia, nie pamiętając już zupełnie o tym, że obiecywała sobie ostrożnie wypowiadać życzenia, które miała spełnić koralik. Korciło ją ogromnie, żeby zadziwić Piotra. A Piotr tymczasem namyślał się. Stał ze zmarszczonym czołem i powtarzał:

— No, na przykład, czy potrafiłabyś, czy potrafiłabyś...

— Mów prędzej, co się tak namyślasz — niecierpliwiła się Karolcia.

— Taaaak?! — zdenerwował się teraz z kolei Piotr. — Taka jesteś ważna? A na pewno nie potrafisz stać się... niewidzialna!

— Niewidzialna? — Karolcia wzruszyła ramionami. —

Przecież to drobnostka dla mnie. Zaraz mogę to zrobić.

— E, śmieszna jesteś z tymi przechwałkami. Myślisz, że ci uwierzę? — szydził Piotr.

— Tak? No, to zaraz zobaczysz!

I w jednej chwili Karolcia stała się przezroczysta jak szkło. Tylko wiszący na jej szyi koralik jaśniał jak błękitny kwiatek unoszący się w powietrzu.

A Piotr? Warto było zobaczyć jego zdumioną minę! A potem zaczął wołać:

— E, ty się tylko tak schowałaś!

— Wcale się nie schowałam — odezwał się tuż obok głos Karolci i Piotr poczuł, że go ktoś ciągnie za sweter.

— Przestań — krzyknął — cóż to za niemądre żarty!

Powiedz lepiej, gdzie jesteś!

— Atu! — zawołała Karolcia. — Goń mnie!

— Jakże mogę cię gonić, kiedy nie wiem, gdzie jesteś.

— A tu jestem! — Karolcia dotknęła ręki Piotra. Aż podskoczył, tak się przestraszył.

— Aha! — cieszyła się teraz Karolcia. — Wygrałam od ciebie globus, wygrałam!

— Dostyc tego! — wołał teraz Piotr. — Powiedz, gdzie się schowałaś?

— Wierzysz więc, że jestem niewidzialna?

— Wcale nie wierzę! Uwierzę dopiero wtedy, jak stanie się coś bardzo dziwnego.

— Cóż więc chcesz, żeby się stało?

— Jeśli naprawdę jesteś niewidzialna, Karolciu, to czy na przykład potrafiłabyś podnieść do góry krzesło, mimo że ciebie nie widać?

Karolcia roześmiała się.

— Oczywiście! Proszę bardzo!

W tej chwili krzesło uniosło się jakby samo do góry, towarzyszyło temu jednak lekkie postękiwanie niewidzialnej Karolci, gdyż było to krzesło naprawdę ciężkie. Tak! Teraz wreszcie Piotr uwierzył w jej niewidzialność. Stał z otwartymi ustami, zagapiony.

— Czy jeszcze mam coś zrobić? — zabrzmiał uprzejmy głos Karolci.

— Tak, to jest nie... to znaczy... Karolciu — zawołał naraz Piotr — a czy ja też mógłbym być niewidzialny?

— Ty niewidzialny? — głos Karolci był teraz niepewny, wahający się. — Samą nie wiem...

— Ach, błagam cię! Zrób to — prosił Piotr. — Pomyśl, jak moglibyśmy we dwójkę pysznie się bawić, gdybyśmy tak oboje byli niewidzialni... Tak, to rzeczywiście mogła-

by być pyszna zabawa.

Ale czy się uda? Czy życzenie będzie ważne i wobec Piotra? Należy jednak spróbować.

— Uwaga! Może zaraz staniesz się niewidzialny! Czy już jesteś niewidzialny? Bo już powinienes być, a ja jeszcze ciebie widzę!

— Ja ciebie też teraz widzę! — powiedział Piotr.

— Jak to: mnie widzisz, kiedy ja jeszcze jestem niewidzialna?

— zdumiała się Karolcia.

— Ale ja ciebie na pewno widzę — zapewniał Piotr. I wyciągnął rękę, aby dotknąć jej ramienia.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła ciotka Agata.

— Karolciu! — zawołała, stając na progu.

— Słucham, ciociu — odpowiedziała Karolcia — czy możesz mnie i Piotrowi dać coś do zjedzenia?

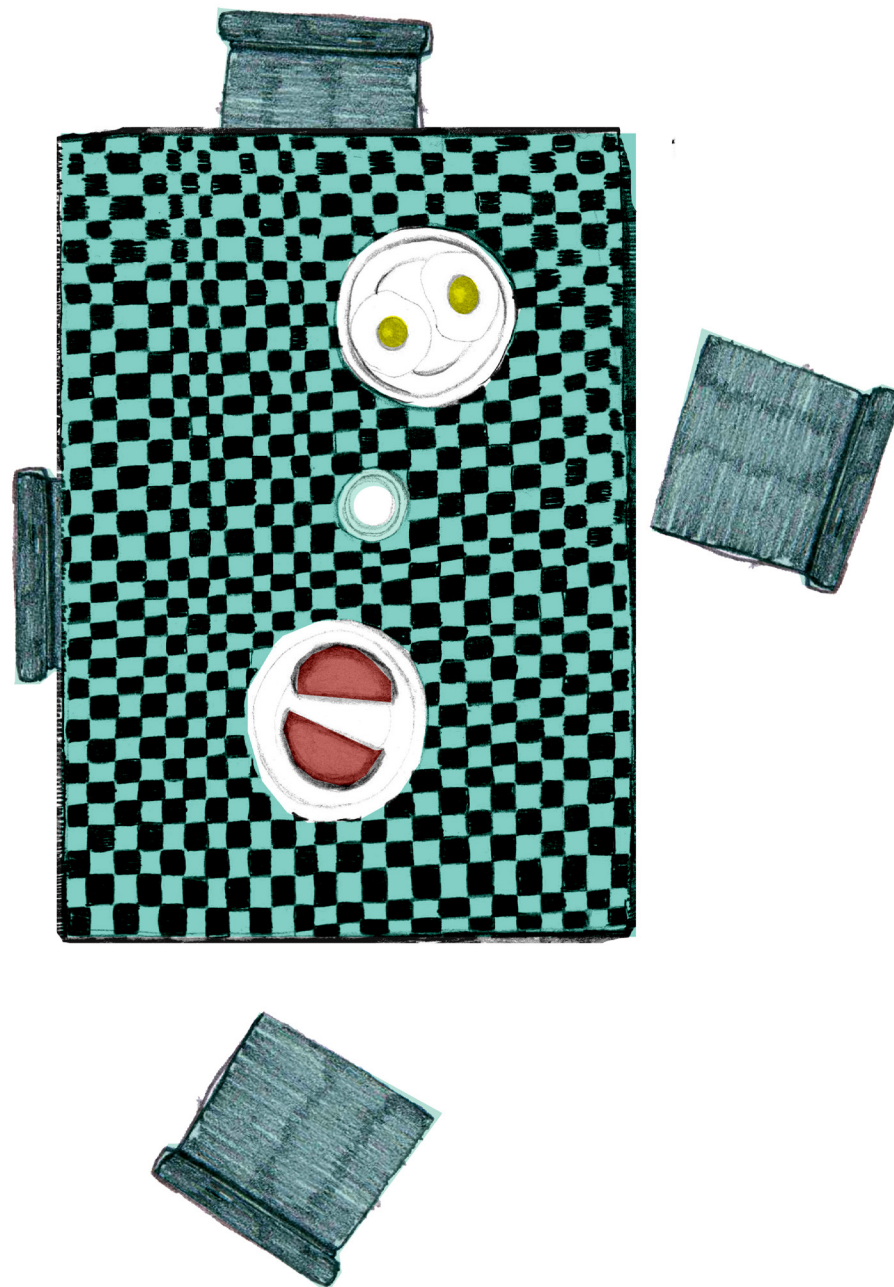
— Oczywiście, że mogę, ale przestańcie się chować i zaraz przyjdźcie do kuchni, to sobie zabierzecie kanapki z szynką.

— Dobrze, dziękujemy, ciociu.

— Ale już lepiej wyjdźcie z tej kryjówki i umyćcie ręce przed jedzeniem a ja tymczasem otworzę tu okno. Deszcz już przestał padać.

To mówiąc, ciotka Agata ruszyła w stronę okna. Szła prosto na Karolcię, tak jakby Karolcia tam wcale nie stała. Ba, nawet o mało co nie przewróciła się przez wysuniętą Karolciną nogę.

— Przysięgłabym, że tu coś leży na podłodze — mruknęła i bacznie spojrzała na posadzkę. Nic jednak tam widać nie dostrzegła, bo ruszyła dalej, potrącając po drodze



niewidzialnego Piotra.

Byłaby właściwie wpadła na niego, gdyby się w porę nie usunął. Potem ciotka Agata zawołała jeszcze:

— Wiem na pewno, że schowaliście się za tapczanem. Ale już przestańcie z tym chowaniem się.

I wyszła z pokoju.

— Hura! — zawołał wtedy Piotr, podskakując z zachwytu. — Hura! Jednak jesteście niewidzialni!

— Czy jesteś tego pewien? — spytała Karolcia.

— Ależ oczywiście. Przecież sama się przekonałaś, że twoja ciotka była najpewniejsza, że ukryliśmy się gdzieś, wtedy gdyśmy stali tuż prawie obok niej. I nawet o mało by cię nie rozdeptała!

— Prawda — szepnęła Karolcia — ale dlaczego ja widzę ciebie, a ty widzisz mnie?

— Bo prawdopodobnie niewidzialni ludzie widzą siebie nawzajem — powiedział Piotr. — Ale możemy się przecież przekonać, czy jesteśmy niewidzialni, czy nie.

— Prawda — ucieszyła się Karolcia. — Musimy spróbować,

czy nas kto zobaczy. To będzie najpewniejszy dowód.

— Najlepiej będzie, jeśli zejdziemy na podwórze — zaproponował Piotr.

— To dobry pomysł — przytaknęła szczęśliwa właścicielka niebieskiego koralika. — Tylko przedtem musimy zajrzeć do kuchni. Ciotka Agata czeka na nas z drugim śniadaniem.

Hura! Niewidzialni! Hura! Latamy!

Ciotka Agata nalała mleko do kubeczków. Bułki z masłem i szynką leżały na talerzykach, kiedy naraz przypomniała sobie, że powinna zabrać z balkonu suszące się tam ście-reczki. Kiedy wróciła do kuchni, aż usiadła ze zdumienia, a potem szybko zimną wodą przemyła sobie oczy.

— Sen mnie zmorzył czy co? Zdawało mi się, że już zrobiłam kanapki — mruknęła. W przedpokoju rozległ się jakby tupot małych stóp i dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi.

— No widzisz, jednak, jak się zdaje, obydwójce jesteśmy na dobre niewidzialni — szepnęła radośnie Piotr.

— Poczekaj, lepiej jeszcze się upewnić — zabrzmiał szept Karolci. — Uwaga, ktoś idzie!

Rzeczywiście z góry schodziła sąsiadka, pani Kowalska.

— Dzień dobry! — powiedzieli Piotr i Karolcia grzecznie.

— Dzień dobry! — odpowiedziała niepewnie pani Kowalska i rozejrzała się wokoło. Piotr miauknął wobec tego cichutko. Pani Kowalska znów się obejrzała, a potem zaczęła wołać: „kici, kici”. Bo widać myślała, że jej kot idzie za nią po schodach. A Piotra i Karolci wcale a wcale nie widziała, chociaż stali tuż przy niej.

Zadowoleni zbiegli co prędzej na podwórze. Deszcz przestał nareszcie padać i tylko gdzieniegdzie pozostały spore kałuże. A kałuże — wiadomo — wspaniała fczecz. Zwłaszcza młodsze dzieci lubią chlapać się w nich i puszczać papierowe łódeczki. Więc i teraz Agasia i dwójce jeszcze młodszych dzieci przykucnęło nad małym jeziorkiem i zabierało się do budowy tamy, kiedy naraz z sąsiedniego bloku wypadł Waldek. Podbiegł do kałuży



i zaraz zaczął ochlapywać dzieciarnię. Piotr i Karolcia spojrzeli na siebie — była to nareszcie prawdziwa okazja, żeby dać porządną nauczkę temu Waldkowi, który każdego bił i nikomu nie dał przejść spokojnie. I teraz też — patrzcie tylko, pchnął tak Agasię, że wpadła do kałuży! Za Agasią wepchnął do wody Janię.

Pobiegli więc szybko w stronę Waldka. Bardzo to śmiesznie wyglądało, kiedy duży Waldek klapnął naraz w sam środek błota jak żaba! To Piotr, niewidzialny Piotr popchnął go z całej siły.

— Kto mnie pchnął?! — ryknął rozszłoszczony Waldek. I obejrzał się — ale nikogo za sobą nie zobaczył. Ale za chwilę znów rymsnął w błoto — to niewidzialna Karolcia chwyciła go za nogę, tak że stracił równowagę. A wszyscy naokoło stali i aż się trzymali za boki ze śmiechu. I nikt tego Waldka nie żałował, tylko wszyscy mówili, że dobrze mu tak za to, że taki dla wszystkich jest niedobry! No, to z Waldkiem byłoby załatwione! A co dalej robić?!... Piotr i Karolcia spojrzeli na siebie. Hm! Roboty znalazłoby się dosyć. Oto idzie na przykład miła pani Kozłowska z drugiego bloku i dźwiga ciężki kosz ze sprawunkami. Piotr zawsze jej pomaga zanieść kosz na górę. Czy przez to, że jest w tej chwili niewidzialny, pani Kozłowska ma sama nieść to wszystko na górę?

— Niemożliwe — mówi szeptem Piotr do Karolci i zaraz podbiega do pani Kozłowskiej. Ujmuje za pałąk kosza i niesie. A pani Kozłowska strasznie się cieszy, że kosz taki lekki, i nawet tak mówi do jakiejś sąsiadki: „Tak się dobrze dzisiaj czuję, proszę pani, jakbym miała znów ze dwadzieścia lat.

Wczoraj to ten kosz taki wydawał mi się ciężki, a dziś —

jakbym piórko niosła. Tak mi siły wróciły! Pewnie po tych ziólkach, które piję”.

Sąsiadka nadziei się temu nie może, ale zaraz przestaje rozmawiać z panią Kozłowską, tylko gapi się na drugi koniec podwórka i napatrzeć się nie może, co się tam dzieje. Aż oczy przeciera — bo patrzcie, ludzie: hulajnoga sama jedzie po chodniku między trawnikami!

Oczywiście łatwo się można domyślić, że to Karolcia pędzi na hulajnodze pozostawionej przy ławeczce przez Dorotę. — Rety!

A Dorota też stanęła, jakby w kamień zamieniona, usta otworzyła i nie wie, co powiedzieć, bo naraz Leszek, który akurat wybiegł na podwórze, zaczął wołać:

— Patrz, Dorota, nawet hulajnoga od ciebie ucieka!

A znów jedna dziewczynka zaśmiała się:

— Jak ją grzecznie poprosisz, to może do ciebie wróci.

I w tej chwili, jakby na zawołanie, hulajnoga zawróciła i zaczęła pędzić w stronę Doroty! To dopiero było! Dorota najpierw stała, jakby oczom nie wierzyła, a potem zaczęła uciekać. Naprawdę!

I wtedy to wyglądało tak, jakby ją hulajnoga rzeczywiście goniła.

Ale w końcu znudziła się ta zabawa Karolci i zaczęli się z Piotrem namyślać, co by teraz zrobić.

Wreszcie Piotr zaproponował:

— Wiesz co? Chodźmy do tego wielkiego domu towarowego. Tam się trochę pobawimy!

— Świetnie — zgodziła się Karolcia. — Ale co będzie, jeśli ciocia zobaczy przez okno, że mnie nie ma na podwórzu?

— Ha, właśnie, to samo będzie i z moją mamą. Nat-



uralnie że zaraz będzie się okropnie martwiła, gdzie się podziałam! Zaraz, zaraz, co by zrobić wobec tego? Słuchaj! Już wiem! Napiszemy listy — ty do ciotki Agaty, a ja do mojej mamy. Będą spokojne, a my też będziemy w porządku!

Drzwi w mieszkaniu Karolci były zamknięte. Ale list udało im się wsunąć przez szparę.

Kochana ciociu Agato. Idę się troszkę pobawić z Piotrem. Nie martw się o mnie. Twoja kochająca Karolcia.

Do mieszkania Piotra było łatwiej się dostać. Za to zdarzyła się tam zupełnie inna historia. Bo oto, gdy już list był napisany, nagle rozległo się trzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. To mama wyszła, prawdopodobnie do dentystki.

— Jesteśmy zamknięci! — zawołał rozpaczliwie Piotr. — Wiem doskonale, że mama będzie tam co najmniej dwie godziny. Wszystko przepadło!

— Dlaczego? — zdziwiła się Karolcia. — Przecież możemy wyjść i sami zatrzaskać drzwi.

— Kiedy ich nie można w ogóle otworzyć, jeśli mama zabrała klucz. Chodź, sama się przekonasz.

Tak, drzwi były zamknięte, a mama zabrała klucz. Piotr był bliski łez. Naraz Karolcia roześmiała się.

— Ojej, Piotr! Nie ma się czym przejmować.

— Jak to: nie ma! — wrzasnął Piotr.

Karolcia spojrzała na niego dumnie.

— Zapominasz zupełnie o... tym!

I Karolcia ujęła w swoje dwa niewidzialne palce wiszący na jedwabnej, różowej nitce — błękitny koralik!

— To co zrobimy? — zapytał teraz Piotr zachwyconym szeptem. — Jak wyjdziemy stąd? Czy dałoby się — tu

zawahał się — czy dałoby się wyfrunąć przez okno?

— Czemu nie? Naturalnie że możemy. Albo też od razu znaleźć się w sklepie?! Jak wolisz?

— Lepiej wyfrunąć przez okno — zdecydował Piotr — a potem żebyśmy od razu byli w sklepie. Bo w ten sposób będzie okropnie śmiesznie.

— Niech tak będzie — kiwnęła głową Karolcia i znowu ujęła w palce niebieski koralik, aby wyrazić odpowiednie życzenie.

Natychmiast też okno otworzyło się i Karolcia razem z Piotrem wyfrunęli. Unosili się teraz lekko nad ulicą, ale ponieważ bali się, że lada podmuch wiatru może ich rozdzielić, więc schwycili się za ręce.

Spojrzeni w dół i zobaczyli z ogromnym zdumieniem, że nad ulicami rozpościera się jak gdyby sieć z drutów. Istna pajęczyna.

— To przewody elektryczne linii tramwajowych i trolejbusowych — objaśnił Piotr z niejakim zadowoleniem, że zna się na takich rzeczach. — Musimy uważać, żeby o nie nie zawadzić.

— Jak cudownie tak płynąć w powietrzu! — zachwycała się Karolcia. — Patrz! Możemy zaglądać do okien wszystkich domów. To było naprawdę strasznie śmieszne! Można było zapukać w szybę albo niespodziewanie powiedzieć coś do kogoś. Tak właśnie zdarzyło się, kiedy mijali pewną wysoką kamienicę. W mieszkaniu na trzecim piętrze jakiś malec wyglądał przez okno i tak się wychylał, że naprawdę mógł wypaść. Karolcia zdenerwowała się tym ogromnie.

— On sobie może coś złego zrobić, on na pewno wyleci! — denerwowała się. — Widać został sam w domu i taki

z niego głuptas, że nawet nie wie, na co się naraża.

— Zaraz mu damy nauczkę — zdecydował Piotr.

Zatrzymali się więc teraz przy tym oknie i wpłynęli do mieszkania. Wspólnymi siłami ściągnęli malca z okna, a Piotr powiedział możliwie grubym głosem:

— Nie wolno włączyć na okno! Rozumiesz?

— Ro... rozumiem — odpowiedział malec rozglądając się niepewnie wokoło.

— Bo dam ci w skórę, jeśli nie posłuchasz — groził dalej Piotr.

— Nie strasz dziecka! Nie pozwolę ci, abyś miał go zbić!

— szeptem broniła malucha Karolcia.

— Kiedy ja tylko tak! Na postrach! — uspokoił ją Piotr. — Teraz możemy go zostawić i pofruniemy dalej.

Znów więc lekko płynęli nad miastem. Przysiadali dla zabawy na chwilę na dachach lub na balkonach i unosząc się znowu w powietrze gonili się naokoło wszystkich kominów fabrycznych.

Było to jednak niebezpieczne, gdyż od czasu do czasu wiał dość silny wiatr, który mógł ich łatwo rozdzielić, tak bowiem stali się zwiewni. W pewnej zaś chwili, zupełnie niespodziewanie, Piotr zorientował się, że leci samotnie. Obejrzał się — gdzie jest Karolcia? Co się z nią stało? Dopiero po chwili spostrzegł ją, zaczepioną brzegiem sukienki o jakąś antenę telewizyjną. Trzeba więc było koniecznie natychmiast zawrócić, aby ratować przyjaciółkę. Nie było to wcale łatwe! Wiatr znosił Piotra ciągle w bok i ani rusz nie mógł skierować się w stronę wzywającej pomocy Karolci. Już zdawało się, że sprawa jest zupełnie beznadziejna, gdy nagle i zupełnie nieoczekiwanie zjawiała się pomoc ze strony dwóch sympatycznych gawronów, które widząc całą historię, pośpieszyły na

ratunek. Parę uderzeń mocnymi dziobami i oto sukienka już się odczepiła.

— Czy wy nas widzicie? — zdziwiła się Karolcia.

— Oczywiście — oświadczyły zgodnie gawrony.

— A przecież my jesteśmy niewidzialni!

— Ale jesteście niewidzialni tylko dla ludzi! Wiemy poza tym, że masz niebieski koralik, Karolciu, tylko pamiętaj, że nie należy używać go zbyt lekkomyślnie.

— Co chcieliście przez to powiedzieć? — zawołała Karolcia, ale gawrony już odleciały, a ją wiatr szczęśliwie zaniósł w stronę Piotra.

Chwycili się znów za ręce i teraz już frunęli prosto do domu towarowego, który był widoczny z daleka.

Wylądowali na tarasie, gdzie była urządzona kawiarnia.

— Ach! Jakież mam pragnienie — oświadczyła Karolcia na widok osób pijących przez słomiane rurki wodę sodową oraz oranżadę z wysokich kieliszków.

— Służę ci — powiedział elegancko Piotr — mam właśnie jeszcze trochę pieniędzy z moich oszczędności i mogę cię zaprosić!

— Ale wiesz? — rozmyśliła się Karolcia. — Właściwie to wolałabym lody! Owocowe i śmietankowe.

— Ja też — przyznał się Piotr. — Wobec tego może zajmijmy miejsce przy stoliku?

— No dobrze — Karolcia przysiadła na jednym z kolorowych krzesełek — ale jak zamówimy lody, kiedy jesteśmy niewidzialni? Czy myślisz, że musimy znów stać się widzialni?

— Trzeba się nad tym zastanowić. To poważna sprawa, bo naprawdę nie wiem, co byłoby lepsze.

— Ach! A tymczasem zobaczymy, jakie te lody są. Czy są

owocowe albo śmietankowe? A może będą pistacjowe?

Zbliżyli się do dużego bufetu, który był zarazem lodówką, i przyglądali się, jak panienska w białym fartuszkach nakłada porcje lodów, czerpiąc je z dużych termosów, umieszczonych w bufecie-lodówce. Ach! Były i lody pistacjowe!

— No to co zrobimy? — zastanawiał się tymczasem Piotr.

— E, wiesz co? Lepiej już zostanmy niewidzialni, mniej będzie kłopotu — zdecydowała Karolcia.

— Dobra! — zgodził się Piotr. — Wobec tego zrobimy tak: złapiemy szybko po porcji lodów, które szykuje panienska, a zapłacimy w ten sposób, że pieniądze położymy na bufecie.

Transakcja udała się jak najlepiej. Lody były wspaniałe i pokrzepiające. Toteż po ich spożyciu można już było śmiało ruszyć na wielką wyprawę do wnętrza domu towarowego.

— Idziemy! — zakomenderował Piotr.



Lepsze i gorsze pomysły

W domu towarowym panował oczywiście jak zawsze ogromny tłok. Ruchome schody zapchane były ludźmi i wcale nie łatwo było na nie się dostać.

— Nie możemy się wcisnąć, bo jeśli jesteśmy niewidzialni, to nas mogą niechcący zadusić — rozsądnie zauważył Piotr — co wobec tego zrobimy? Może poprosisz, żebyśmy od razu znaleźli się w dziale zabawek.

— Co ty, Piotrek? — oburzyła się Karolcia. — Nie mogę przecież prosić o takie nie najważniejsze rzeczy. Jeszcze się pogniewa. Chodźmy do zabawek!

— Ojej, jaka ty jesteś dziecinna. Chodź, najpierw obejrzymy sobie jeszcze inne działy.

Zatrzymali się więc na chwilę na następnym piętrze przy stoisku z butami. Tu, mimo że ludzie stali spokojnie, sprzedająca widać była w niezbyt dobrym humorze, bo niegrzecznie rzucała na ladę pudełka z butami i nikomu nie chciała podać innej pary, jeśli jakieś buty były za ciasne albo za luźne. Właśnie kiedy Piotr z Karolcią podeszli do stoiska, jakaś pani z małą dziewczynką na próżno prosiła o zamianę za ciasnych butów, które kupiła dla swojej córeczki.

— Nie zamienia się! — niegrzecznie odpowiadała na jej prośby sprzedająca.

— Mnie się zdaje, że ta pani, która sprzedaje, nie jest bardzo uprzejma — zauważyła Karolcia.

— Pewnie, że nie jest uprzejma — zgodził się Piotr. — Wiesz? Postraszymy ją trochę, może się potem poprawi.

— Ale jak ją postraszymy? — spytała Karolcia, której ten

pomysł wydał się zupełnie niezły.

— Zaraz zobaczysz. Tylko rób to samo co ja! — I Piotr szybko schwycił z półki parę męskich butów, które włożył sobie na ręce. Karolcia zaraz też chwyciła jakąś parę czerwonych sandałków i ku szalonemu zdumieniu i przerażeniu ekspedientki — dwie pary butów samodzielnie pomaszerowały wzdłuż lady.

— Aaaaach! Aaaaach! — zdenerwowała się sprzedająca.

— Co to znaczy?

Nikt na to nie odpowiedział, bo wszyscy patrzyli teraz z zaciekawieniem, co będzie dalej.

— To reklama! — zawołał ktoś.

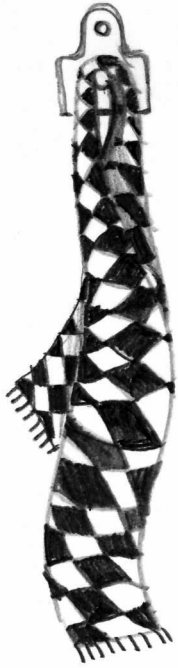
A tymczasem męskie buty i czerwone sandałki tańczyły teraz przytupując wesoło. „Hop sa! sa! Hop! sa sa!” Tak się to wszystkim spodobało, że zaczęli do taktu przyspiewywać. I tak się wszyscy rozbawili, i tak się wszyscy z tego tańca śmiali, że w końcu nawet zaczęła śmiać się razem ze wszystkimi i ta niegrzeczna sprzedawczyni.

Naraz buty przystanęły. Czerwone sandałki też się zatrzymały i wszyscy ze zdumieniem usłyszeli dwa dziecinne głosy, które powiedziały głośno i wyraźnie:

— Żądamy, aby sprzedająca była grzeczna dla kupujących!

To dopiero było! Sprzedająca zaczerwieniła się jak burak i rzuciła się w stronę butków, ale one tymczasem już zwinnie wróciły na swoje miejsce na półce. Tylko ludzie stojący przy ladzie powtórzyli: „Tak, tak, racja — prosimy, żeby pani była grzeczna dla kupujących”. A inni znów mówili, że to dobry pomysł reklamy i że to było mówione przez głośnik.

Oczywiście, że teraz sprzedająca już nie mogła się złościć



i musiała być bardzo grzeczna. Bała się, żeby się nie powtórzyła historia ze spacerującymi butami. Tymczasem zaś Piotr i Karolcia powędrowali dalej. Stoisko z zabawkami było na samym końcu, musieli więc przejść wzdłuż wielu jeszcze innych stoisk z różnymi rzeczami. Przy jednym z nich zatrzymali się na chwilę — były tam piękne szale, rękawiczki i chusteczki — takie do noszenia na głowie i takie do nosa.

— Poczekaaj chwileczkę — poprosiła Karolcia.

— Tylko obejrzę te chusteczki. Są prześliczne. Chciałabym, kiedy będę miała pieniądze, kupić chociaż sześć dla mojej mamusi na imieniny. Wiesz, które mi się podobają? O, te niebieskie z kwiatkowym szlaczkiem.

— A mnie się podobają te w kratę — kupiłbym takie dla mojego tatusia. Nawet na pewno kupię, kiedy już dosyć uzbieram — powiedział Piotr stanowczo. — Ale patrz tylko, patrz na tego chłopaka.

I wskazał na wysokiego chłopca w poplamionym swetrze, który wpychał ukradkiem do kieszeni piękny jedwabny szalik.

— To złodziejaszek! — szepnął Piotr. — Trzeba będzie też mu zrobić figła i dać nauczkę.

— A co zrobimy? Przecież on jest bardzo duży! — westchnęła Karolcia.

— Ale my jesteśmy niewidzialni! — szepnął z zadowoleniem Piotr. — Już wiem, co zrobię! Odechce mu się na przeszłość kradzieży!

I szybko podskoczył w stronę złodziejaszka, który niczego się nie spodziewał. Jednym szybkim ruchem Piotr wy-

ciągnął z jego kieszeni skradziony szalik. Złodziejaszek schwycił się za kieszeń i przytrzymał koniec szalika. Ale to już nic nie pomogło. Teraz wszyscy patrzyli na chłopaka, który usiłował wepchnąć do kieszeni szalik, którego drugi koniec jakaś niewidzialna ręka ciągnęła do góry.

— Złodziej! Złodziej! — zakrzyknęły na ten widok sprzedające i rzuciły się w stronę chłopaka. Ale ten już nie czekał na dalszy ciąg swojej dziwnej przygody. Zmykał tylko ile sił w nogach, a trochę stłamszony szalik spoczął jakby ułożony na ladzie.

— A to dziwne wydarzenie — kiwali głowami ludzie, którzy to widzieli.

— E, to były zdjęcia do filmu — mówili inni.

— Ale zrobimy coś jeszcze bardziej dziwnego — powiedział na to po cichu do Karolci Piotr. — Teraz jazda do działu zabawek.

W dziale zabawek przystanęli zagapieni. Było na co patrzeć! Karolcia miała ogromną ochotę wziąć chociaż na chwilę do rąk

którąś ze wspaniałych, ogromnych lalek. Stały rzędem na półce, ubrane ślicznie — zupełnie jak małe, żywe dziewczynki. Miały prawdziwe włosy do mycia, zamykane oczy i Karolcia wiedziała, że jeśli się je przechyli do tyłu, to powiedzą: ma-ma.

Właściwie to Karolcia tak naprawdę, ale to naprawdę, wcale nie chciała mieć takiej lalki na zawsze — od razu wiedziała, że to jest za droga lalka. Ale przecież chodziło tylko o to, żeby ją tak trochę wziąć na ręce. Tak, tak — ale jak to urządzić, żeby zaraz nie zrobiło się całe przedstawienie i żeby wszyscy nie stanęli w podziw, że lalka sama zeszła z półki. Bo przecież jeśli niewidzialna Karol-



cia ją stamtąd weźmie, to będzie zupełnie wyglądało, jakby lalka sama chodziła albo unosiła się w powietrzu. A tymczasem Piotr zaproponował:

— Chcesz? To wdrapię się na tę półkę i zdejmę ci którąś lalkę. Tylko powiedz którą. No, czemu się namyślasz, Karolciu! Przecież lalce nic się nie stanie, bo na pewno jej nie zepsujesz! Poza tym przecież nie chcesz jej zabrać, tylko potrzymać — więc nie będzie to nic złego. Zaraz potem postawię ją na tym samym miejscu...

— Kiedy... — zaczęła niepewnie Karolcia.

— Ojej! Jaka ty jesteś! — mruknął Piotr. — Nie nudź, Karolciu! — I zanim Karolcia zdążyła odpowiedzieć, już stał na ladzie i sięgał do półki.

— No, którą chcesz? — spytał.

— To już najlepiej tę w spódniczce czerwonej, uczesaną w koński ogon.

Nie minęła chwila, kiedy lalka znalazła się w ramionach Karolci. Była to zresztą bardzo duża lalka i Karolcia postawiła ją na ziemi, a potem wzięła za rączkę jak małe dziecko i zaczęła ostrożnie prowadzić.

Wśród kupujących rozległ się okrzyk zachwyty:

— Lalka, która sama chodzi! Pewnie bardzo droga!

— Proszę mi zaraz dać taką lalkę, która sama chodzi! — zażądała natychmiast jakaś pani.

— I mnie, i mnie — rozległy się głosy. I zaraz wszyscy ustawili się w kolejce.

— Kiedy to nie są chodzące lalki — wyjąkała zdumiona sprzedawczyni — ja nic o tym nie wiem!

— O, widzicie, nie chce sprzedawać takich pięknych lalek — zaczęli się irytować kupujący. — Proszę zaraz sprzedać te lalki!

A jedna dziewczynka, która właśnie przyszła razem ze swoją mamą, wołała:

— Ja chcę koniecznie mieć taką lalkę, koniecznie! Zaraz mi ją kup, mamo.

Sprzedająca mrucząc pod nosem „nic nie rozumiem” zdjęła z półki jedną z lalek i spróbowała postawić ją na ladzie. Lalka stała co prawda, ale o chodzeniu nie było mowy.

— Widać zepsuta! — orzekła ta pani z córeczką. — Proszę nam dać inną.

— Kiedy nie mam innych, przecież od razu mówiłam, że to nie są lalki chodzące — tłumaczyła ekspedientka.

— Tak? A dlaczego tamta lalka chodzi? To proszę mi ją zaraz zapakować!

— Mogę zapakować, jeśli pani tak koniecznie chce — zgodziła się dla świętego spokoju sprzedająca.

Tymczasem Piotr i Karolcia ujęli teraz lalkę za obie ręczki i szybko pomaszerowali korytarzem.

Naturalnie, że wcale nie mieli zamiaru uciekać z lalką, tylko ogromnie się im ta zabawa spodobała. Ludzie stojący przy stoiskach stawali w podziwieniu, zagapieni na maszerującą lalkę.

— Mamo! Ona ucieka! — wrzasnęła naraz ta dziewczynka, która przedtem chciała koniecznie dostać chodzącą lalkę. A potem wyrwała się matce i pobiegła za niewidzialnymi Piotrem i Karolcią. Widząc tę niespodziewaną pogoń, puścili się pędem.

Lalka niesiona przez nich galopowała teraz poprzez całe piętro domu towarowego.

— Zaczekaj! — wrzeszczała goniąca ją dziewczynka. Za dziewczynką znów biegła jej mama, też pokrzykująca

nie wiadomo dlaczego: — Stać! Stać!

Za tą mamą wreszcie biegła na końcu sprzedająca. Wołała:

— Proszę pani! Proszę pani! Niech się pani uspokoi! Ojej! Co tu się dzieje! Ta lalka chyba jest popsuta, że tak biegnie! Trzeba zawołać dyrektora! Dyrektora!

— Ojej — szepnęła teraz Karolcia do Piotra — dyrektora chcą wołać, może być z tego okropna awantura.

— E, nic się nie bój — uspokoił ją Piotr. — Tylko wiesz co? Już mi się znudziło to bieganie z lalką. Oddajmy ją.

— A komu?

— Jak to komu? — ekspedientce. Tylko czekaj, przedtem jeszcze zrobimy jeden kawał. Zatrzymajmy się!

Ku zdumieniu wszystkich maszerująca lalka zatrzymała się nagle. Przystanęła, obróciła się w stronę goniących i powiedziała głosem, który dziwnie był podobny do głosu Piotra:

— Znudziło mi się chodzić. Chcę wrócić na półkę. I wróciła. Zupełnie to wyglądało tak, jakby ją tam ktoś postawił. To znaczy Piotr i Karolcia postawili ją na jej dawnym miejscu. Teraz wszyscy zaczęli pytać o cenę takich chodzących lalek, a Piotr i Karolcia wsiedli do małego samochodziku. Od dawna już mieli ochotę nim się przejechać — od dawna, to znaczy jeszcze od owego czasu, kiedy przychodzili do domu towarowego jako zwyczajne dzieci, a nie takie, które mogą, gdy zechcą, stać się niewidzialne. Teraz więc spełniły się ich marzenia. Piotr zasiadł przy kierownicy.

— Jedziemy naokoło — powiedział i ruszyli. No i naturalnie znów zaczęły dziać się straszne awantury, bo teraz wszyscy biegli za pędzącym samochodzikiem.



— Reklama! Reklama! — wołali kupujący i chcieli koniecznie wsadzić tam swoje dzieci.

— Musimy wysiąść — westchnął Piotr — nic z tego nie będzie. Nie dadzą nam spokoju.

— Chodźmy wobec tego do domku Baby Jagi — zaproponowała Karolcia — tam będziemy mogli spokojnie się pobawić.

— Świetna myśl — pochwalił Piotr.

Domek Baby Jagi był małym domkiem zbudowanym z pierników — ale tak na niby, bo naprawdę to był drewniany. Były tam małe okienka z firaneczkami i zielone drzwi, a na dachu siedziała drewniana sowa i obok niej uszyty z gałganków czarny kot.

Co się działo dalej w piernikowym domku

Otworzyli więc skrzypiące drzwiczki zielonego płotka, który otaczał domek Baby Jagi. Pod oknami zrobiony był ogródek z papierowych kwiatów i rosło drzewo, które było zwykłą dekoracją z dykty i papieru, pomalowanego na zielono i brązowo. Czerwone jabłka na drzewie też były z czegoś zrobione. Może z papierowej pomalowanej na czerwono masy.

— Szkoda, że to wszystko jest nieprawdziwe — powiedział Piotr. — Gdyby to było tak naprawdę! Pomyśl tylko! No, powiedz sama, czy byś nie chciała, żeby to był prawdziwy domek!

— Pewnie że bym chciała, żeby to był prawdziwy, ale taki najprawdziwszy domek z prawdziwą Babą Jagą i prawdziwym kotem, i ze wszystkim prawdziwym! — zakrzyknęła z zapałem Karolcia, ściskając niebacznie w rękę błękitny koralik. Ciągle bała się, aby go nie zgubić podczas tych wszystkich przygód, istale sprawdzała, czy przypadkiem nitka się nie przerwała i koralik nie zginął. Ale koralik był i natychmiast spełnił życzenie Karolci.

Ledwie zamknęli za sobą skrzypiącą furtkę, natychmiast poczuli zapach żywych kwiatów rosnących przed domkiem, a zielona trawa była świeża i pełna stokrotek. Puchacz na dachu poruszał się niespokojnie i łypnął jednym żółtym okiem, czarny kot wstał i przeciągnął się, a potem mruczając przyjaźnie zeskoczył na ziemię i zaczął się ocierać o nogi Karolci, tak jak to zwykły czynić wszystkie zaprzyjaźnione koty na świecie.

— Nie bój się go, on ci chyba nic złego nie zrobi — szepnął Piotr.

— Wcale się nie boję — odpowiedziała Karolcia z oburzeniem.

— Co ty, Piotrek! Przecież ja bardzo lubię koty!

— Ale ten jest zaczarowany — przypomniał z zachwytem Piotr.

— Tym lepiej — kiwnęła główką Karolcia. — Przepadam za zaczarowanymi kotami. Patrz, jaki jest miły i jakie ma aksamitne futerko.

— Tylko wiesz co? Przecież on nas widzi! Inaczej nie łąsiłby się do ciebie. Czy to ma znaczyć, że znów jesteśmy widzialni?

Trzeba by się jakoś o tym przekonać... ale jak? Już wiem!

— I Piotr niewiele myśląc przechylił się za płotek i chwycił jakąś przechodzącą panią za płaszcz. Pani podniosła krzyk:

— Ratunku, złodzieje! Ktoś chciał ze mnie ściągnąć płaszcz!

— Ale gdzie jest ten złodziej?! — pytali wszyscy.

— Nie wiem — odpowiedziała pani, patrząc w stronę Piotra.

— Nie wiem, gdzie się podział, wiem tylko, że ciągnął mnie z całej siły za płaszcz!

— Eee, ciągnął i zniknął — powiedział ktoś — pewnie zaczepiła się pani o płotek. — I zaraz wszyscy zaczęli się śmiać i zrobiło się ogromnie wesoło, a paniusia poszła sobie dalej.

Piotr był już zupełnie pewien, że jest jednak dalej niewidzialny. No i Karolcia również.

— Widać to jest tak — ucieszyli się — że dla zwykłych ludzi to jesteśmy niewidzialni, a widzieć nas mogą tylko

ci z zaczarowanego świata. — I wydało im się to bardzo przyjemne.

Tymczasem kot wyginając grzbiet miauknął kilka razy uprzejmie, a potem, z podniesionym do góry ogonem, powędrował do drzwi chatki. Po chwili te zielone drzwi otworzyły się i wyszła do ogródka Baba Jaga. Ponieważ przedtem była drewniana, więc w pierwszej chwili zupełnie nie było wiadomo, czy dalej jest drewniana, czy też dzięki czarom jest prawdziwa. W każdym razie w tej chwili wcale nie wyglądała groźnie i w dodatku z poczciwym uśmiechem zapraszała ich do środka domku. Nie zastanawiali się więc dalej nad tą sprawą. A w domku było przepięknie! Wszystko było tam prawdziwe — i małe mebelki, i poduszki na łóżku, i piec z trzaskającym wesoło ogniem.

— Czy lubicie pierniki? — spytała Baba Jaga.

— Lubię serduszka w czekoladzie — przyznała się Karolcia.

— Serduszka w czekoladzie? — ucieszyła się Baba Jaga.

— A to świetnie! — I natychmiast zaczęła wyjmować z pieca pyszne, świeżo upieczone pierniczki.

— Spróbujcie — częstowała.

Były przepyszne. Ale przecież nikt nie może zjeść zbyt dużo serduszek czekoladowych. A może Baba Jaga się obrazi, jeśli się nie zje wszystkich?

— Możecie rozdawać je dzieciom, które tu przychodzą

— powiedziała wtedy Baba Jaga, która, widać, wiedziała, co kto myśli.

— Ale czy możemy to zrobić, kiedy jesteśmy niewidzialni?

— Ach, mogę doskonale na tę chwilę zrobić was znów widzialnymi — i dotknęła ich palcem — teraz już was wszyscy będą widzieli.



— Czy potem znów możemy być niewidzialni? — zaniepokoił się Piotr. — Bo pani rozumie, musimy wrócić niedługo do domu...

— Oczywiście, odzyskacie waszą niewidzialność, gdy tylko będziecie chcieli.

— To świetnie!

Tymczasem wokół domku Baby Jagi stały zagapione dzieci. Stali również nie mniej zagapieni ich rodzice. Wszyscy podziwiali piernikowy domek, kwitnące wokół kwiaty i mądrego kota, który mruczał jakąś kocią piosenkę. Zachwył wzrósł z chwilą, kiedy z domku wyszli Piotr i Karolcia i zaczęli rozdawać piernikowe serduszka w czekoladzie.

— Aha! — przypomniała sobie Baba Jaga — chciałam wam jeszcze powiedzieć, że te pierniki też nie są takie zupełnie zwyczajne. Kto zje takie serduszko, od razu staje się lepszy. Sami zresztą zobaczycie.

Rzeczywiście, że zaczęły się dziać rzeczy niezwykłe. Wszyscy ustępowali sobie miejsca, nikt się nie pchał, chłopcy prosili dziewczynki, aby stanęły przed nimi, nie było mowy o żadnych sprzeczkach i popychaniu. A nawet jeden starszy chłopak pożyczył swoją czystą chustkę do nosa pewnemu malcowi i wziął go na rękę, aby mógł lepiej zobaczyć, jak wygląda domek Baby Jagi. Pewna dosyć duża dziewczynka zdjęła z warkocza różową kokardę i podarowała ją małej dziewczynce, która płakała z powodu zgubienia własnej kokardy. Jeśli przypadkiem zjadł kawałek piernika ktoś z dorosłych, natychmiast zaczynał rozumieć, że sprawy dzieci są niezmiernie ważne i właściwie najważniejsze ze wszystkiego. Mamusie natychmiast uważały, że sprawunkiem,

który jak najszybciej trzeba załatwić, jest kupienie lalki dla córeczki, a tatusiowie szybko przeliczali pieniądze, czy im starczy nakupno roweru lub chociaż hulajnogi dla synka. Wszyscy chcieli być dla wszystkich bardzo dobrzy. Naraz ku swojemu ogromnemu zdumieniu Karolcia zobaczyła w tłumie stojących, którym rozdzielała piernikowe serduszka, swoją własną mamusię. Na szczęście mamusia zjadła właśnie kawałek piernika, którym ją poczęstowała jakaś inna mamusia, i wobec tego wcale się nie zdziwiła, kiedy zobaczyła Karolcię w domku Baby Jagi, tylko zamachała do niej wesoło chusteczką.

— Zaraz idę, mamusiu — zawołała Karolcia — tylko rozdaję wszystkie pierniczki!

W tej chwili podeszła do zielonej furteczki jakaś pani w dziwnym kapeluszu z piórami, takim, jakich już nikt nie nosi, i wyciągnęła rękę.

— Proszę bardzo! To są pyszne serduszka w czekoladzie — powiedziała uprzejmie Karolcia.

— Dziękuję — odpowiedziała pani w dziwnym kapeluszu — nie chcę twoich pierników, moja mała. Za to daj mi co innego.

— Czego pani sobie życzy? — spytała wobec tego Karolcia.

Nieznajoma podniosła głowę przybraną dziwnym kapeluszem i dopiero teraz Karolcia zobaczyła spiczasty nos i małe, błyszczące oczy.

— Daj mi zamiast pierników ten swój niebieski koralik — szepnęła syczącym głosem — daj mi go zaraz!

I wyciągnęła swą szponiastą, chudą rękę w stronę koralika.

— Nie dam mojego koralika! — krzyknęła wtedy Karolcia.

— Co się stało? — spytał podbiegając Piotr.



— To Filomena! Poznałam ją, chce nam zabrać koralik. Ratujmy się! — Karolcia już sama nie wiedziała, co począć.
— Musimy znów stać się niewidzialni! Zrób to natychmiast — wołał Piotr — a potem uciekniemy!
Rzeczywiście natychmiast odzyskali niewidzialność, ale niestety! Błękitny koralik nie był przecież niewidzialny, tylko jaśniał swym ślicznym błękitem, kołysząc się na różowej jedwabnej nitce, wiszącej na Karolcinej szyi. Był tak niewielki, że właściwie nikt go nie mógł zauważyć, ale Filomena widziała go doskonale.
— Ha! — wrzasnęła teraz Filomena — i tak ci go odbiorę!
— Nie, przenigdy mi go nie odbierzesz! — zawołała bohaterko Karolcią. — Piotr! Ratujmy się!
Piotr chwycił szybko Karolcię za rękę i zaczęli uciekać. Błękitny koralik wyglądał jak mała, niebieska isierka migocząca w powietrzu. Filomena rzuciła się też gwałtownie w pogoń za koralikiem i Karolcią.
— Prędeż, prędeż! — szeptał teraz Piotr, ciągnąc Karolcię za rękę. — Prędeż!
Przemykali się w tłumie, nurkowali między kupującymi, a Filomena pędziła za nimi.
— Czego pani się pcha! — oburzali się ludzie. — Czy pani oszalała? Co to za wychowanie!
— Precz! Z drogi! — ryczała rozszłoszczona Filomena, wyciągając parasol.
Całe szczęście, że goniąc poprzez całe piętro, Piotr i Karolcia wpadli do działu firanek. Wtedy to Filomena zaplątała się w jedną z nich i runęła jak długa na podłogę. Trzepotała się niby ryba w sieci i już się zdawało, że koralik jest ocalony, gdy najniespodziewaniej na świecie jakaś przechodząca pani niechcący zaczepiła nową, dopi-

ero co kupioną łyżką durszlakową o różową nitkę na szyi niewidzialnej Karolci. Nitka pękła, a koralik potoczył się po gładkim linoleum, którym wyłożona była podłoga w domu towarowym. Koralik, tocząc się po podłodze, dźwięczał jak gdyby najśliczniejszy i najdelikatniejszy dzwoneczek. Filomena niestety usłyszała ten dźwięk. Nie darmo miała duże i jakby trochę kosmate uszy.

Wyplątała się więc nad podziw zręcznie z firanki i skoczyła jak pantera w stronę koralika. Ale tu spotkała się z niewidzialnym Piotrem i niewidzialną Karolcią, którzy również rzucili się na ziemię, aby podnieść toczący się koralik, któremu groziło podwójne niebezpieczeństwo — po pierwsze, że schwyci go Filomena, a po drugie, że ktoś mógłby go rozdeptać. Chwila była bardzo dramatyczna!

Bo oto szponiasta ręka Filomeny

była tuż, tuż przy koraliczku, gdy naraz, prawie w ostatniej chwili zdołała go pochwycić Karolcia. Piotr tymczasem usiłował obezwładnić Filomenę: gdy ta leżała wyciągnięta na chodniku, przytrzymał ją z całej siły, aby nie mogła gonić dalej Karolci. I znów naturalnie zgromadził się tłum ludzi — wszyscy przyglądali się ze zdumieniem Filomenie, która w przekrzywionym kapeluszu, wyjąc dziko, rzucała się na podłogę.

Bo nikt przecież nie widział walczącego z Filomeną Piotra. — Ta pani zachorowała! — odezwały się głosy. — Widać ma jakiś atak! To może być niebezpieczne! Wezwijcie pogotowie!

Nie minęła chwila, kiedy pogotowie nadjechało. Lekarz w białym fartuchu i dwaj sanitariusze zajęli się Filomeną, która dalej krzyczała:

— Łapcie ich, łapcie! Muszę odebrać niebieski koralik!

— Zdaje się, że pani ma gorączkę — powiedział grzecznie doktor — pani pozwoli, że zmierzmy temperaturę. I włożył Filomenie pod pachę termometr. Oczywiście że z termometrem nie wolno podskakiwać, więc siedziała teraz zła okropnie i kłóciła się z doktorem, że nic jej nie jest. — Damy pani zastrzyk na uspokojenie, nic więcej — obiecywał lekarz.

Tymczasem Karolcia zdołała już na szczęście podnieść koralik.

Trzymała go teraz w zaciśniętej ręce i nie wiedziała, co z nim zrobić, aby go nie zgubić.

— Zmykajmy do domu, zdaje się, że już jest bardzo późno — przypomniał sobie Piotr.

I naraz zdziwił się.

— Widzisz, Karolciu?! Twoja mama też tu jest. Przy stoisku z guzikami!

Rzeczywiście! Mama Karolci stała tam i kupowała guziki do Karolcinej sukienki. Zanim Piotr cokolwiek zrozumiał, Karolcia podbiegła do mamy i szybko wsunęła rękę do kieszeni jej płaszcza. Potem wróciła do Piotra i powiedziała:

— Już schowałam koraliczek. Jest teraz zupełnie bezpieczny.

— A co z nim zrobiłaś?

— Po prostu wsunęłam do kieszeni w mamy płaszczu. Nie bój się! Nie zginie tam! Kieszeń jest niezmiernie głęboka!

— To co z nami będzie? — krzyknął Piotr.

— Jak to: co?

— No przecież jesteśmy jeszcze ciągle niewidzialni!

— No wiem, że jesteśmy niewidzialni, no to co z tego?

— Jak to: co? Karolciu, pomyśl tylko! Przecież musimy

wobec tego pozostać niewidzialni tak długo, dopóki nie odzyskasz koralika. Przecież nie możesz poprosić, abyśmy znów stali się widzialni, jeśli nie będziesz miała koralika przy sobie.

— Prawda! — przestraszyła się trochę Karolcia. — Ale jestem pewna, że moja mamusia nie zgubi koraliczka i gdy tylko wrócimy do domu, to zaraz sięgnę do jej kieszeni, wyjmę go i znów będziemy widzialni.

— Tak, tak, a jeśli twoja mama tak od razu nie wróci do domu, tylko jeszcze będzie załatwiała na przykład jakieś sprawunki — to co? Tymczasem moja mama będzie się ogromnie niepokoiła, że mnie nie ma w domu, i potem będzie awantura. Jesteś ogromnie lekkomyślna, Karolciu.

— Wcale nie jestem lekkomyślna! Przecież musiałam ratować koralik! Musisz mi przyznać, że musiałam ratować!

— No musiałaś, musiałaś, ale, ale... ojej, widzisz, jak późno?

— Oj, prawda! Okropnie późno! To chyba jedziemy do domu.

— Pewnie, że jedziemy! Tylko jak? O tej porze wszystkie autobusy są bardzo przepełnione! Ludzie wracają na obiad do domu! Boję się, że cię zgniotą w tym tłoku, bo o siebie to się nie boję — dodał Piotr rycersko.

— O mnie się nie bój! Jakoś damy sobie radę! Tylko jeszcze musimy pożegnać się z Babą Jagą i z czarnym kotem. To byłoby niegrzecznie tak wyjść bez pożegnania.

Baba Jaga skończyła tymczasem rozdawanie pierników w czekoladzie.

— Zachowałam tylko jeszcze kilka dla was — powiedziała.

— Wiem, że musicie wracać do domu. Ja też znów stanę się drewniana. Ale jeśli jeszcze kiedy zajrzycie do mnie, chętnie was zobaczę. Aha! Pamiętajcie! Serduszka w czekoladzie nie tracą swojej mocy nawet i w prawdziwym

świecie. Sami zresztą o tym się przekonacie. Bądźcie zdrowi. I strzeż się Filomeny, Karolciu! To niedobra kobieta. Gdyby dostała w swoje ręce błękitny koralik, mogłaby zrobić dużo złego na świecie. Wyobraźcie sobie, co by to było, gdyby tak zaczęła żądać od koralika spełniania różnych złych rzeczy! No, to żegnajcie!

Mieli teraz pełne kieszenie serduszek. Baba Jaga była znów drewniana, tylko kot jeszcze parę razy zamruczał przyjaźnie, zanim wskoczył na dach domku, żeby tam też znieruchomieć i udawać gałganianego.

— Chodźmy! — zakomenderował Piotr. — Naprawdę najwyższy czas na nas.



W domu dzieją się dziwne rzeczy

Wcale nie jest tak łatwo, gdy się jest niewidzialnym, przyjechać do domu w zatłoczonym autobusie. Ale całe szczęście, że się to jakoś udało, i wreszcie Karolcia i Piotr znaleźli się w domu. Że drzwi były zamknięte, to też jeszcze nie było najgorsze, bo ostatecznie zawsze można było zadzwonić i gdy ciotka Agata, mrużąc gniewnie na głupie dowcipy chuliganów, którzy dzwonią i uciekają, otworzyła drzwi, udało się szybko wsunąć do mieszkania. Ale najgorsze było to, że mama jeszcze nie wróciła do domu!

— A jeśli przypadkiem koralik wypadnie twojej mamie z kieszeni? — powtarza Piotr.

— Oj, nie martw się naprzód — uspokajała go Karolcia. Ale naprawdę sama też tym się trochę martwiła. Bo co by było, gdyby tak na przykład, wyjmując z kieszeni chusteczkę albo rękawiczki, mama wyrzuciła niechący koralik. Strach pomyśleć — wtedy musieliby już do końca życia zostać niewidzialni.

— Ja tymczasem polecę i zobaczę, co u mnie w domu słychać — przypomniał sobie Piotr. — I zaraz wrócę. Tylko pamiętaj, jak zadzwonię, musisz mi zaraz sama otworzyć, bo ciotka Agata może się rozgniewać i wcale do drzwi nie podejść.

— Dobrze, ale przyjdź jak najszybciej! Bo co ja tu sama, i w dodatku niewidzialna będę robić? — westchnęła Karolcia. — I taka jestem okropnie głodna.

— Ja też! — przyznał się Piotr. — Pierniczki były świetne, ale nie jest to takie prawdziwe jedzenie.

— Wracaj szybko, to się naradzimy, może jakoś uda się coś zjeść. Tylko nie trzaskaj głośno drzwiami, kiedy będziesz wychodził, bo ciotka zno- się zdenerwuje. A potem wszystko będzie na mnie.

— A gdyby tak ciotka Agata zjadła kawałek serduszka w czekoladzie, to może by się nie gniewała na ciebie? — wpadł na pomysł Piotr.

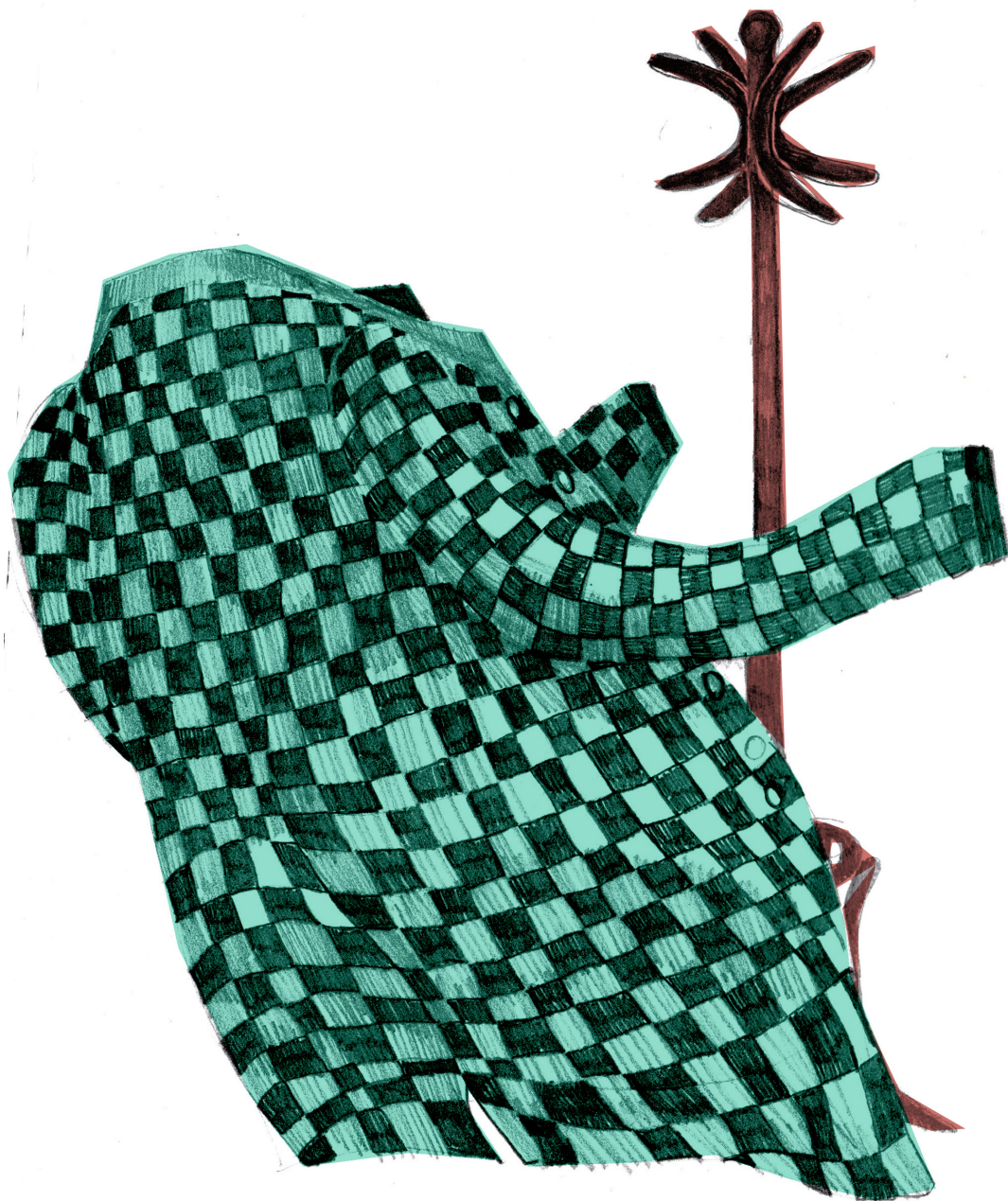
— Wiesz? To byłoby dobre. Gdyby tylko zechciała zjeść! Czekaj, spróbuję jakoś jej podsunąć.

Po chwili na kredensie w kuchni leżała zgrabnie zawinięta paczuszka, na której znajdowała się kartka z nagryzmołonymi w pośpiechu słowami:

Dla kochanej Cioci Agaty od Karolci, żeby Ciocia koniecznie spróbowała, jakie to dobre.

Jak na złość ciotka krzątała się przy kuchence gazowej, gdzie akurat zapiekała makaron z szynką. Była widać trochę zagniewana, bo mrużąc coś pod nosem i mocno, z hałasem przesuwała garnki. Wreszcie podeszła po coś do kredensu i zobaczyła paczuszkę. Trochę jeszcze gniewna, przeczytała list, ale widać była ciekawa, co paczuszka zawiera, bo otworzyła ją szybko. Czekoladowe serduszkwyglądały niezmiernie apetycznie, a w dodatku pachniały tak, że nikt nie mógł się temu zapachowi oprzeć i koniecznie musiał zaraz ugryźć chociaż mały kawałek. Tak też zrobiła i ciotka Agata. I w tej chwili — ledwie przełknęła pierwszy kęs, już od razu poweselała. Pomrukując teraz z zadowolenia, zjadła pierniczek do końca. — Przepyszne — orzekła — ach, ta Karolcia! To złote dziecko! Że też pomyślała o tej swojej starej ciotce.

W tej chwili rozległ się dźwięk dzwonka. Nie ulegało wątpliwości — to dzwonił Piotr. Karolcia rzuciła się pędem



do przedpokoju, aby mu otworzyć, ale ciotka Agata nie dała się wyprzedzić, o nie! Chyżo przebiegła przedpokój i szeroko otworzyła drzwi, za którymi stał niewidzialny Piotr. Ale pomimo to, że nikogo nie zobaczyła, nie gniewała się tym razem, tylko zachichotała.

— Ach, to jakiś urwis dzwoni! Ale to nic nie szkodzi! — I nucąc wesoło, ciotka Agata wróciła do kuchni.

— No i co? — spytała Karolcia Piotra. — Co się dzieje u ciebie w domu?!

— Na szczęście mama i tatuś jeszcze nie wrócili. Zostawiłem kartkę, że niedługo przyjdę, żeby się nie martwili. Chciałem coś zjeść, ale nic w domu nie było, bo mama miała kupić wszystko po drodze.

— E, u nas jest masa jedzenia. A ciotka Agata coś pierze w łaźnie. Chodźmy więc śmiało do kuchni!

Ciotka Agata oczywiście dziwiła się potem bardzo, dlaczego jest tak mało mleka w dzbanku i skąd się wzięły na stole dwie brudne szklanki po mleku, kiedy przecież była najpewniejsza pod słońcem, że wszystkie szklanki umyła już rano. Siedziała na stołku kuchennym rozmyślając nad tym, kiedy znów zadzwieczał dzwonek przy drzwiach. To była na pewno mama!

Tak, to była mama z rękami pełnymi paczek.

— Załatwiłam masę sprawunków — powiedziała mama.

— Karolcia jest w domu?

— Jeszcze nie ma, ale zaraz powinna przyjść — uspokoiła mamę ciotka — pewnie bawi się na podwórku. Kochane dziecko!

— Wolałabym, żeby już była w domu — mama nie była zbyt zachwycona nieobecnością Karolci. Kładła zakupy na stole i zdejmowała rękawiczki.

— Muszę poczekać, aż mama zdejmie płaszcz — szepnęła Karolcia do Piotra. — Rozumiesz, że nie chcę teraz sięgać do kieszeni!

Wreszcie mama zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku w przedpokoju. Karolcia podskoczyła czym prędzej i zanurzyła rękę w głębokiej kieszeni. Długo szukała, wreszcie odwróciła się do Piotra — nie ma w tej kieszeni! Pewnie się pomyliła! To jest ta druga kieszeń!

Ale w drugiej kieszeni też nie było błękitnego koralika!

— Mama zgubiła koralik! — jęknęła Karolcia.

— Co teraz będzie?!!! — zdenerwował się Piotr. — Czy jesteś zupełnie pewna, że nie ma?! Szukajmy jeszcze raz. Na szczęście mama była w drugim pokoju i opowiadała o czymś ciotce. W pewnej chwili wróciła po coś do przedpokoju i ku swojemu szalonemu zdziwieniu spostrzegła, że płaszcz, który przed chwilą, jak się jej zdawało, powiesiła na wieszaku, leży na łóżku, a w dodatku porusza się dziwnie, zupełnie jakby siedziało w nim jakieś zwierzątko. — Ach! Ach! — krzyknęła mama — coś siedzi w moim płaszczu! Może to szczur?!

Bo mama bardzo się bała szczurów i myszy.

— Co się tu dzieje? — zapytał naraz tatuś. Nikt nie słyszał, kiedy wszedł do mieszkania, bo mama rozmawiała wtedy z ciotką Agatą, a potem krzyczała ze strachu, a znów Karolcia i Piotr przez ten czas, bliscy płaczu, szukali koralika i nigdzie nie mogli go znaleźć.

— Zdaje się, że już na zawsze będziemy niewidzialni — westchnął Piotr. — Ma to swoje dobre strony, ale nie zawsze. Można na przykład nie odrabiać lekcji!

— I można bawić się w domu towarowym — pocieszająco powiedziała Karolcia — ale strasznie mi żal mamy.

Bo co powie na to, że ma niewidzialną córeczkę. Chyba będzie płakała.

— A moja mama też będzie się ogromnie martwiła — Piotr załamał ręce — no, to co zrobimy?

— Nie wiem — szepnęła z rezygnacją Karolcia i rozplakała się na dobre.

— Przeszukajmy te kieszenie jeszcze raz — zaproponował Piotr. Ale zaraz musieli odsunąć się od palta, bo właśnie do pokoju weszli tatuś i mamusia.

— Teraz już się to paltro nie rusza, widać ten szczur uciekł — powiedziała mama, a tatuś odważnie chwycił paltro i podniósł je do góry.

Potrząsnął nim przy tym, żeby mamie pokazać, że nic nie ma w środku.

— Coś ci się przywidziało! — powiedział i pocałował mamusię na pocieszenie. — Ale, ale, byłbym zapomnian! Przeczytaj koniecznie dzisiejsze popołudniowe gazety! Piszą o tym, że dziś w domu towarowym działy się niezwykle rzeczy.

I tatuś podał mamie gazetę, w której na pierwszej stronie, ogromnymi literami było wydrukowane:

NIESŁYCHANE WYDARZENIE W DOMU TOWAROWYM!

UDANE POMYSŁY REKLAMOWE!

LALKA, KTÓRA SAMA CHODZI!

UCIECZKA SAMOCHODZIKA!

— A wiesz? Rzeczywiście coś tam takiego było. Co prawda nie byłam sama przy tym, ale ludzie byli niesłychanie podnieceni i opowiadali o jakiejś maszerującej lalce. Po jakąś kobietę przyjechało pogotowie. Ale zdaje się nic poważnego. I jeszcze coś: zupełnie przypadkiem jadłam pyszne pierniczki! Wyobraź sobie, że rozdawała je dziew-

czynka w domu Baby Jagi. Ta mała była tak podobna do naszej Karolci, że w pierwszej chwili pomyślałam, że to ona, i nawet zamachałam do niej ręką.

Oczywiście, że dopiero potem uprzytomniłam sobie, że to niemożliwe, że przecież Karolcia została w domu.

— A jak już mowa o Karolci — powiedział na to tatuś — czemu jej jeszcze nie ma?

— Kochane dziecko — odpowiedziała na to ciotka Agata — wyszła pobawić się z dziećmi. Napisała do mnie karteczkę, abym była spokojna. Więc jestem spokojna!

— Ale ja nie jestem spokojny! — zdenerwował się tatuś.

— Najwyższy czas, aby była już w domu. Zdaje mi się, że powinniśmy siadać do obiadu.

— Ależ ,oczywiście, że zaraz siadamy — uspokajała tatusia ciotka Agata — a Karolcię natychmiast zawołam.

— Boże, co teraz będzie! — westchnęła Karolcia. A Piotr tylko zwiesił głowę. Tymczasem mamusia zaczęła cze-



goś gwałtownie szukać w torebce.

— Czekaj, czekaj — powiedziała do tatusia — chcę ci jeszcze coś pokazać! Wyobraź sobie, że znalazłam coś dziwnego w kieszeni palta...

— ...W kieszeni palta?!!!!! — Karolcia gwałtownie chwyciła rękę Piotra i teraz zamienili się oboje w słuch.

— Sięgnęłam do kieszeni, aby zapłacić za bilet w autobusie, i naraz znalazłam coś ślicznego. Nie wiem, czy to ma jakąś wartość, ale być może, że jest to jakiś drogocenny kamyczek, a może zupełnie zwyczajne szkiełko. Ale ma taki dziwny blask.

I mama sięgnęła do torebki, skąd wyjęła portmonetkę. Potem z portmonetki wyjęła zawinięty w kawałeczek papieru... błękitny koralik.

Zanim jednak tatuś zdołał przyjrzeć się dziwnemu koralikowi, zniknął on nagle z ręki mamusi jak zdmuchnięty.

— Musiał mi upaść na podłogę... nie mam pojęcia, co się z nim stało, ale mówię ci, że był to przedziwny błękitny

kamyczek, gdzież on się podział?...

— Mniejsza o to, Aniu — powiedział tatuś — na pewno nie był to żaden klejnot. Siadajmy lepiej do obiadu, jestem strasznie głodny! Ale niepokoję się, gdzie jest Karolcia?... Chyba już czas, żeby była w domu!

A Karolcia! Domyśliliście się chyba, że to Karolcia porwała błyskawicznie z ręki mamy błękitny koralik. Nie miała po prostu innego wyjścia. Potem ściskając koralik w dłoni pociągnęła za sobą Piotra do przedpokoju, następnie otworzyła po cichu drzwi i wreszcie przystanęła w sieni. Tam natychmiast wyszeptwała życzenie — aby ona i Piotr znów stali się widzialni. I zaraz tak oczywiście się stało.

— No, teraz możemy zadzwonić — westchnęła Karolcia — tym razem biedna ciotka Agata nie będzie się denerwować, że na próżno otwiera drzwi.

— Ale może będzie się gniewała, że późno wracamy — zaniepokoił się Piotr.

— Wcale nie będzie się gniewała! Zapomniałeś, że zjadła zaczarowane serduszek w czekoladzie? Zaraz sam się przekonasz.

No i Piotr przekonał się. Naprawdę! Bo ledwie zadzwonili, otworzyła im ciotka Agata promieniejąca radością.

— Kochane dzieci! — wołała. — Są już! Pewnie głodni! Piotrze, czy zostaniesz u nas na obiedzie? Karolciu, myj rączki, mój skarbie.

— Dobrze, zaraz umyję rączki — zgodził się skarb, czyli Karolcia. Ale Piotr nie chciał zostać na obiedzie. Nie był wcale pewien, jak go przyjmą w domu. Przecież jego mama nie jadł piernikowych serc w czekoladzie.

Uwaga, bo co będzie dalej?...

Nazajutrz, w tej chwili, kiedy Karolcia kończyła śniadanie, pod balkonem rozległo się umówione gwizdnięcie. To Piotr daje znać, że czeka na Karolcię na dole.

— Ciociu, czy mogę zejść na podwórze? — pyta wobec tego jak najgrzeczniej Karolcia. Co prawda ciotka Agata po zjedzeniu wczoraj piernikowego, zaczarowanego serduszka jest ciągle niezmiernie dobra, ale nie jest pewne, czy to potrwa długo? A może czas minie i ciotka znów zacznie zrzędzić?

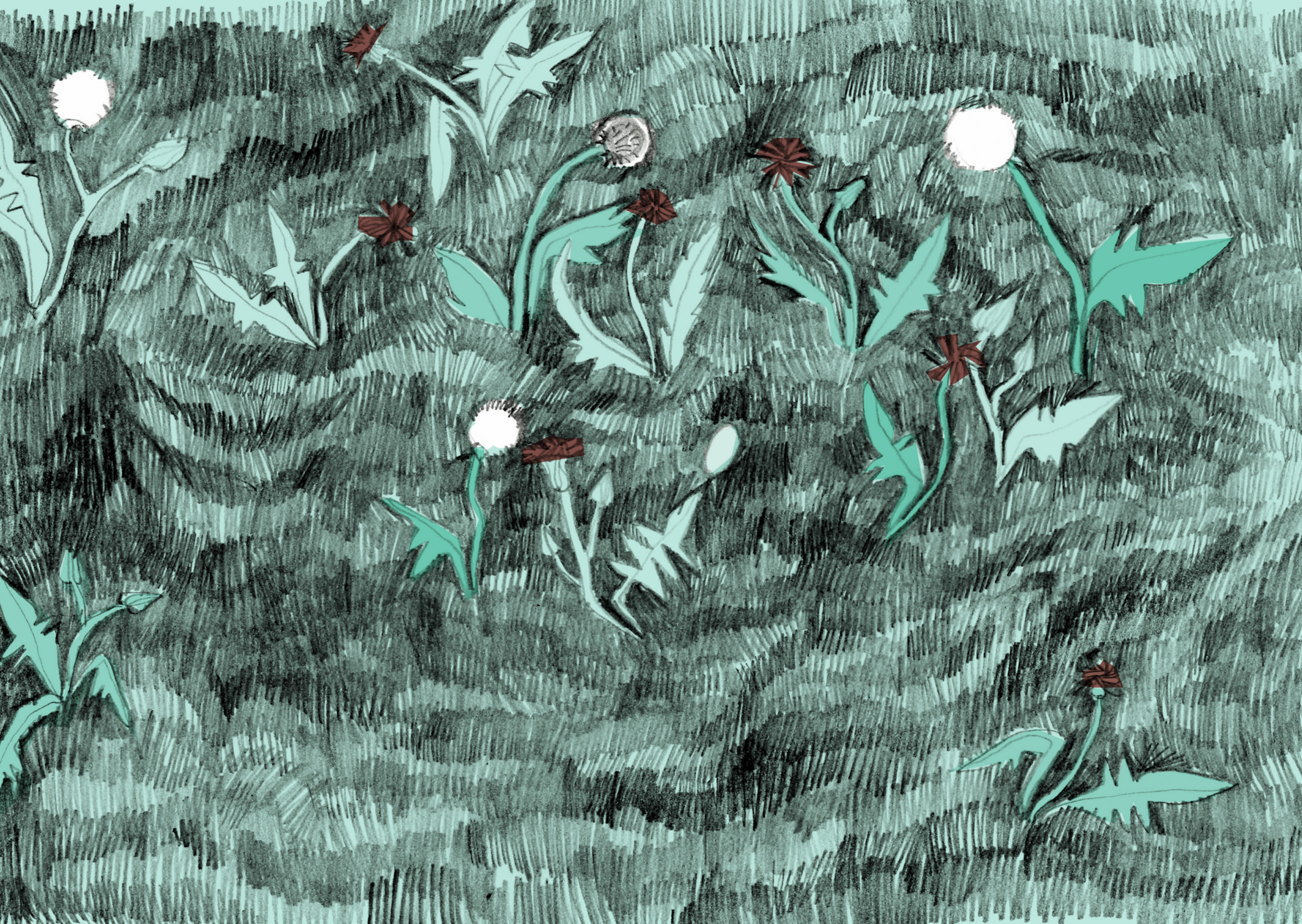
Ale na razie ciotka jest jeszcze pod wpływem czekoladowego serduszka, bo zgadza się, żeby Karolcia natychmiast po wypiciu mleka zeszła na podwórze, i nawet proponuje Karolci, żeby włożyła nową, niebieską sukienkę. Hm, takiej propozycji nie należy lekceważyć. Włożenie nowej, niebieskiej sukienki jest dużą przyjemnością. W dodatku — tak, to jest niezmiernie ważne — nowa, niebieska sukienka ma duże kieszenie, i takie, z których nic na pewno nie wypadnie.

— Ciociu, jesteś niezmiernie, przeokropnie dobra! — woła wobec tego Karolcia. — Zaraz się ubiorę, tylko przedtem powiem Piotrowi, żeby na mnie czekał.

Ciocia zgadza się, pogodnie kiwając głową, i wydobywa z szafy sukienkę, a Karolcia wybiega na balkon i woła do Piotra:

— Czekać na mnie! Ja zaraz przyjdę! Powiem ci coś bardzo ważnego!

— Dobra! — woła Piotr. Jest wesoły i wygląda na człowieka, który nie ma żadnych zmartwień ani ważnych



spraw na głowie, gdy tymczasem Karolcia... Ach! Co tu mówić! Sprawa jest poważna.

Teraz jednak należy włożyć nową sukienkę. Ciotka Agata zawiązuje Karolciną kitkę też nową, niebieską wstążką, a Karolcia wsuwa do kieszeni głęboko, głęboko... niebieski koralik. Bo właśnie chodzi o ten koralik. Ale to się zaraz okaże.

— Tylko uważaj, Karolciu, żebyś jej nie rozdarła — upomina łagodnie ciotka Agata — a może chciałabyś wziąć dla siebie i Piotra drugie śniadanie? Gdzie się wybieracie? Może macie ochotę pójść do ogrodu?

Tak, to doskonała myśl!

— Tak, tak, pójdziemy do ogrodu — oświadcza z zapalem Karolcia — i proszę, ciociu, naszykuj coś do zjedzenia, żeby starczyło dla nas dwojga.

— Oczywiście, rybeńko — przytakuje ciotka Agata — już biegnę. Zawinę wszystko w ładną, zgrabną paczuszkę. Kiedy ciotka Agata mówi „rybeńko”, znaczy to, że jest w najlepszym pod słońcem humorze. Znaczy to również, że śniadanie zawinięte zgrabnie w papier będzie najświetniejsze pod słońcem.

Piotr oczywiście czeka na podwórzu, zniecierpliwiony.

— No i co dziś będziemy robić?! — pyta z ciekawością. I aż mu oczy błyszczą.

— Daj spokój — mówi na to poważnie Karolcia — stała się rzecz straszna! Mam ogromne zmartwienie!

— Coooo! Zgubiłaś go? — pyta w najwyższym przerażeniu Piotr. Karolcia kręci głową — nie, nie zgubiła. Ale jest... Jak by to powiedzieć... Taki jakiś jaśniejszy. Jakby zbladł... Karolcia wydobyła z głębi kieszeni maleńkie pudełeczko od proszków. Kiedy je otworzyła, na poduszce z różowej

waty, przykryty drugim kawałkiem niby kołderką, leżał błękitny koralik.

— Co ty mówisz? — zmartwił się Piotr. — Co to może być? Słuchaj! A może to nie ten koralik? Może inny? Może go zamieniła Filomena? — Piotr aż podskoczył.

— No nie, przecież nie miała okazji.

— A może wtedy, kiedy spałaś?

— Myślisz, że mogła wpaść przez okno? Ojej! może masz rację. On taki blady, zupełnie inny! Koraliczku, odezwij się! I Karolcia wyjęła koralik z pudełka.

Ale koralik leżał blady i milczący na rozwartej dłoni Karolci. — Najlepiej będzie sprawdzić! — zdecydował po męsku Piotr.

— Poproś o coś! Jak się spełni — to ten sam. Tak się robi zawsze we wszystkich bajkach.

— Może masz rację. Tylko o co go poprosić?

— Wszystko jedno! No choćby o to, żeby tu wyrosło drzewko, o tu, przed nami!

— Dobrze — zgadza się Karolcia i wymawia życzenie. W tejże chwili wyrasta przed nimi smukłe, młode drzewko. — No widzisz? Ten sam! — woła triumfalnie Piotr. Ale Karolcia nie jest tym uspokojona. Trzyma koralik na otwartej dłoni i przygląda mu się.

— Patrz, patrz, jest jeszcze jakby bledszy! Jemu coś jest! Ja ci mówię! A może on jest chory, biedaczek?!

Sama myśl o tym tak ją przejęła i wzruszyła, że rozplakała się.

— Koraliczku — szepnęła tkliwie i nie spostrzegła nawet, że jedna, nie otarta w porę łąza kapnęła na koraliczek.

— Nie płacz, Karolciu — rozległ się szept.

— Kto to mówi? Czy to ty, koraliczku? — zdumiała się i ucieszyła zarazem Karolcia.

— Ja, ja. Mogę mówić tylko wtedy, kiedy jestem wilgotny... zapomniałem ci o tym powiedzieć. I zapomniałem ci jeszcze powiedzieć o ważnej rzeczy — słuchaj! Każde życzenie, które spełniam, osłabia mnie tak, że tracę kolor. Pamiętaj więc, że kiedy stanę się bezbarwny, nie będę mógł spełniać życzeń.

— Koraliczku... — chciała jeszcze spytać o coś Karolcia, ale widać promyk słońca, który padł w tej chwili na jej dłoń, wysuszył do reszty kroplę jej łzy, gdyż koralik nie odzywał się już więcej, tylko leżał nieruchomy, błękitny jak błada niezapominajka lub wiosenne niebo.

— Słyszałeś, Piotr? — odezwała się wreszcie Karolcia.

— Słyszałem — Piotr był też w tej chwili poważny i zmartwiony.

— Musimy koniecznie o tym porozmawiać, tylko gdzie możemy tak spokojnie pogadać?

— Najlepiej w ogrodzie — decyduje Karolcia — zresztą powiedziałam ciotce Agacie, że będziemy w ogrodzie.

— Świetnie! Tam rzeczywiście możemy porozmawiać, a jak będziemy chcieli, możemy potem pojeździć na karuzeli albo pohnąć się!

— Właśnie, to samo chciałam powiedzieć — przytakuje Karolcia — a śniadanie mam dla nas dwojga.

— Dobrze, ale wiesz, co ci powiem? Że ze zmartwienia nawet nie mam apetytu!

Do tego ogrodu, który zaproponowała ciotka Agata, było bardzo niedaleko. Właściwie znajdował się prawie po drugiej stronie ulicy Kwiatowej. Nie był to bardzo duży ogród, ale miał mnóstwo zalet. Przede wszystkim najważniejsze było to, że dzieci z całej dzielnicy mogły tu w ciepłe dni spędzać czas na powietrzu i doskonale

się bawić. Były tam krzewy, w których mogli mieszkać Indianie, były wąskie ścieżki, którymi chodzili wielcy wodzowie Mohikanów i Siuksów, były place, gdzie można było jeździć na rowerze lub hulajnodze, były wreszcie cztery huśtawki, jeden kołobieg, jedna karuzela i dwie zjeżdżalnie, nie mówiąc o dwóch wielkich piaskownicach dla maluchów. Jeśli tak się zdarzyło, że któreś z dzieci nie mogło wyjechać podczas wakacji na wieś, to tu spędzało lato. Matki wzdychały wtedy i mówiły: „Nie wiem, co by to było, żeby nie ten nasz ogród!”

Taki to był ogród. I jeśli nie było o nim mowy od razu na początku tej całej historii z koralikiem, to po prostu dlatego, że sprawa koralika była niezwykła i niespodziewana i już riie było czasu na omawianie innych spraw. A teraz już właśnie pbra, aby mówić o ogrodzie, bo tam powędrowali Piotr i Karolcia.

Piotr i Karolcia tak byli zamyśleni i przejęci sprawą błędnięcia koralika, że nawet nie zauważyli, że na siatce otaczającej ogród wisi jakieś ogłoszenie i że stoi przy nim gromadka dzieci i dorosłych. Po prostu, nie zważając na nic, weszli do ogrodu i od razu poszli w stronę alejki, gdzie stała kamienna ławeczka. Tam zawsze było najmniej dzieci i tam można było najspokojniej pomówić o tak poważnej sprawie, jak ta.

Gdy usiedli i zobaczyli, że w tej chwili nikt nie przechodzi alejką, Piotr poprosił:

— Pozwól, niech jeszcze raz zobaczę, czy naprawdę jest już taki błady.

— Popatrz!

— Zdaje mi się, że rzeczywiście jest dużo bledszy — powiedział Piotr po chwili.



— A widzisz — westchnęła smutnie Karolcia — biedactwo! Strasznie mi go żal!

— Nie wiem, czy będziemy mogli jeszcze o coś go poprosić! — Piotr był załamany.

— Chyba że o coś niezmiernie ważnego. Ale takiego najważniejszego.

— Oczywiście, że tylko w takim wypadku — zgodził się Piotr.

— Tylko że tyle jest spraw niezmiernie ważnych.

— No pewnie! Chciałam na przykład mieć nową lalkę!...

— Wiesz? Takie głupstwa!

— Wcale nie żadne głupstwa! A poza tym koralik jest mój.

— No twój, twój — westchnął Piotr — ale przecież ja dla siebie nic nie chcę, ja tylko mówię, że nawet jeśli idzie o ciebie, to lalka nie jest najważniejszą rzeczą. Bo lalkę zawsze można kupić! No nie?

— Można — Karolcia z westchnieniem schowała pudełko z koralikiem do kieszeni — pewnie, że można. Toteż ja wcale nie o takich rzeczach tak naprawdę myślę. O tej lalce to tak powiedziałam, bez namysłu. Ale jeślibym się namysliła, to prosiłabym o coś o wiele ważniejszego.

— Hm! Z tą niewidzialnością to była pyszna zabawa! — mruknął z uznaniem Piotr i aż się uśmiechnął do wspomnień poprzedniego dnia.

— Jak myślisz — dodał po chwili — czy od takiej niewidzialności to on bardzo blednie?

— Nie jestem pewna, myślę, że może nawet nie tak bardzo, ale przecież nie możemy ciągle być niewidzialni.

— Ale gdyby to było potrzebne do czegoś niezmiernie, ale to niezmiernie ważnego — to chyba moglibyśmy, co?

— No pewnie, że dla bardzo ważnej rzeczy to moglibyśmy.

— Ale na razie o nic nie będziemy prosić — postanowił Piotr. — Dopóki nie stanie się coś nadzwyczajnego, prawda? A teraz, wiesz co? Chodźmy na zjeżdżalnię!

— Nie mogę — przypomniała sobie Karolcia — mam dziś na sobie nową sukienkę, ciotka Agata bardzo by się gniewała, jeśli bym ją od razu zabrudziła.

— To wobec tego chodźmy na huśtawki!

— Świetnie! Tylko nie podbijaj zanadto!

— Ojej, boisz się?

— Właśnie że wcale się nie boję, tylko że wtedy mogłoby mi wyskoczyć z kieszeni moje pudełeczko z koralikiem.

— Aha! Racja. Będziemy uważać.

Gdy wyszli na placyk z huśtawkami, zastali już tam Leszka i Janię, a potem zara[^] przyszły Dorota i Agasia. Za nimi przywłókł się Waldek. Ale jakiś był dziwny — wcale się nie wygłupiał ani nie zaczepiał po swojemu wszystkich, tak jak to on potrafi, tylko stał zagapiony, a potem zwiesił głowę i przysiadł z boku.

— No co, Leszek? Huśtamy się? — spytał wesoło Piotr.

— Huśtamy się — kiwnął głową Leszek. Ale jakoś tak bez zapału. Jakby był senny albo bardzo zmartwiony.

— No! Jania! — komenderował dalej Piotr — siadaj po jednej stronie z Leszkiem, a ja z Karolcią po drugiej — zobaczycie, jak się dziś wyhuśtamy za wszystkie czasy! Leszek, coś ty taki dzisiaj dziwny! Gniewasz się czy co? No gadaj, bracie!

— Co mam się gniewać — wzruszył ramionami Leszek.

— Tylko mi smutno. A ty się nie martwisz, co?

— Martwię się. Ale skąd ty wiesz, czym się martwię? — zdziwił się Piotr. Czyżby Leszek w jakikolwiek sposób dowiedział się czegoś o koraliku? Piotr spojrzał na Karol-

cię, ale Karolcia rozmawiała akurat z Janią.

— Jak to nie wiem, czym się martwisz — oburzył się Leszek.

— Wszyscy na całej ulicy tym się martwią.

— Jak to? Jak to: się martwią? — wyjąkał zdumiony Piotr.

— No pewnie. Bo wszystkim żal, że już tu nie będziemy więcej przychodzić. Leszek był rozgoryczony.

— No pewnie, jak kto wyjedzie na wakacje, to i tak będzie sobie używał. Ale jak kto nie wyjeżdża przez całe lato, to co? Tu było pysznie! Jeszcze lepiej niż na wsi nawet. Bo i bawić się mogłeś, i do domu blisko. I mama się o nas nie martwiła! A tak to co?

— Jak to: co?! Nic nie rozumiem — otworzył oczy Piotr.

— Nic nie wiem, o czym mówisz!

— Ojej, nieprzytomny jesteś czy co?! Czytać zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem — zaprzeczył gwałtownie Piotr. — Co opowiesz takie głupstwa, lepiej mów od razu, o co chodzi.

— Jak to: o co chodzi? Jak ogród jutro zamkną, to już będziesz wiedział, o co chodzi! Ostatni raz dziś, bracie, tu się bawimy, a ten się pyta, o co chodzi!

— Jak to: ostatni raz? — zdumiała się Karolcia. — Co to znaczy?

— Co to znaczy, co to znaczy?, — przedrzeźniał Leszek. Nigdy taki nie był, nie wiadomo, co mu się stało.

— Leszek, Jania, mówcie zaraz, co się stało? Dlaczego mówisz, że ostatni raz?

— Chodź, to sam zobaczysz — powiedział na to Leszek, zeskoczył z huśtawki, na której przysiadł, chwycił Piotra za rękę i pociągnął aż do wyjścia. Tu znów stała gromadka ludzi, którzy czytali przybite do drewnianej tablicy ogłoszenie. Za chłopcami biegła Karolcia, ciągnąc za

sobą Janię.

— Czytajcie! — powiedział dramatycznie Leszek.

Od dnia 15 lipca ogród zostanie zamknięty. Na placu tym zbudowana będzie wielka restauracja. Podpisano: Prezydent Miasta.

— Od piętnastego lipca, to znaczy od kiedy? — spytała Karolcia.

— Nie Wiecie od kiedy? — oburzyła się jakaś mamusia, która trzymała za rękę dwoje dzieci. — Od piętnastego, to znaczy od jutra. To znaczy, że już od jutra moje dzieciaki nie będą miały gdzie się bawić!

— He, he, ale będzie można wstąpić na dobry obiadek

— wtrącił jakiś grubas. Ale kobiety zakrzyczały go.

— Moje dzieci też będą musiały przez cały sierpień biegać po brudnym, ciasnym podwórku!

— wołała któraś. — Co to za zarządzenie, moja pani, które dzieci krzywdzi!

— I gdzie teraz pójdą te nasze dzieciaki? — oburzył się jakiś tatuś. — Mój chłopak chciałby cały dzień bawić się w Indian. A czy można bawić się dobrze w Indian w mieszkaniu?

— Nie można, skądże! — odpowiedzieli wszyscy.

— To co na to poradzimy? — spytała jakaś pani z małym dzieckiem w wózek.

— Jak to: co? Trzeba by do Prezydenta pójść i powiedzieć mu o tym! — odpowiedziało kilka osób.

— A gdzie jest ten Prezydent?

— Pewnie w Ratuszu — powiedziała jakaś starszka, która odprowadzała do ogrodu swojego małego wnuczka.

— Tak, ale czy nas wpuszczą do Ratusza? — spytał jakiś chudy pan w okularach. — Słyszałem, że bardzo trudno jest dostać się do Prezydenta.

— Podobno trzeba przejść przez sto siedemnaście pokoi!

— poufnie szeptała pewna grubiuotka paniusia z dzieckiem na ręku. — Słyszałam o tym od mojej ciotki, która sprząta niektóre z tych pokoi. W każdym z nich siedzi co najmniej jeden urzędnik, ale często jest ich dwóch albo trzech. Wszyscy oni po kolei pytają, po co się idzie do Prezydenta. Albo nawet każą pisać to na dużym arkuszu papieru.

— Bez kleksów i bez błędów, bo inaczej nie przyjmują — wtrącił chudy pan w okularach.

— Tak, a poza tym trzeba, żeby do takiego zapisanego papieru, który nazywa się podaniem, były jeszcze załączniki.

— A co to są załączniki? — zainteresowała się Karolcia.

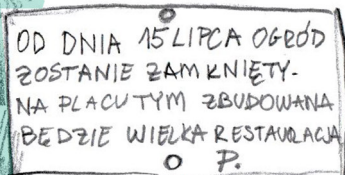
— Takie różne rzeczy, które się załącza do tego podania — wyjaśniała dalej grubiuotka paniusia z dzieckiem.

— No dobrze — wtrącił teraz Piotr — jakby już ktoś napisał takie podanie bez błędu za pomocą słownika ortograficznego, to co?

— Jak to: co? — oburzył się ktoś.

— To co by było? Tę Prezydent je przeczytał?

— Aha! Zaraz przeczytał! A przedtem jeszcze jest sek-



OD DNIA 15 LIPCA OGRÓD
ZOSTANIE ZAMKNIĘTY.
NA PLACU TYM ZBUDOWANA
BĘDZIE WIELKA RESTAURACJA
O P.

retarz albo sekretarka. A może niejedna! I woźni też są, i w ogóle może akurat być jakieś posiedzenie i Prezydent w ogóle może nie mieć czasu!

— Tak, tak — wszyscy teraz stali zasmuceni i kiwali głowami. Bo co tu zrobić, żeby ten ogród zachować? W końcu tak się smutnie wszystkim zrobiło, że mamy zaczęły pochlipywać, a dziewczynki to już nawet głośno płakać. Staruszek z wnuczką udawał, że ma kaszel, a chudy pan w okularach chustkę z kieszeni wydobył i coś tam mrucał, że mu piasek niby wpadł do oka. Chłopcy trzymali się jako tako, ale też im było niewesoło. Wreszcie któraś mama powiedziała:

— Pobawcie się jeszcze, dzieci kochane! Tylko przez dzisiejszy dzień ten ogród jest wasz.

Zegar na pobliskiej wieży wybił właśnie jakąś godzinę.

— A która to już? — ktoś spytał.

— Dziesięć naliczyłam — odpowiedziała mama niemowlęcia

— to znaczy dziesiąta.

— Dziesiąta — powtórzyli Piotr i Karolcia. — Dziesiąta!

Czerwony samochód poraz pierwszy

Stali zasmuceni tak jak wszyscy. Ale po chwili Piotr chwycił Karolcię za rękę i szepnął:

— Musimy zaraz naradzić się i coś postanowić.

— Ale co mamy postanowić?

— Jak to: co? No z tym ogrodem...

— Myślisz, że koralik mógłby... — zawahała się Karolcia.

— Ojej, jaka ty jesteś dziecinna! Nie mówię przecież, żeby koralik coś takiego zrobił, żeby na przykład zamiast restauracji znów był ogród, bo to byłoby na nic. Bo mogliby przecież taki ogród znów zniszczyć i znów postawić restaurację, i tak w kółko.

— No, to o co będziemy prosić koralik? — zapytała Karolcia.

— Nie wiem, ile jeszcze razy można go prosić, bo sam widziałeś, jaki jest blady.

— Jeśli chcesz tylko coś zupełnie dziecinnego dla siebie, to proszę cię, proś — powiedział z goryczą Piotr.

— Coś ty! Piotrek! — oburzyła się Karolcia. — Wcale nic dla siebie nie chcę. Przecież ja wiem, że ten ogród to najważniejsza rzecz teraz — bo to dla wszystkich dzieci. No chyba, żeby był jeszcze taki choć troszkę niebieściutki, tobym może o coś poprosiła. Ale daję ci słowo, że nie myślę o żadnych głupstwach!

— To dobrze — kiwnął głową Piotr. — Ale pomyślmy, co możemy zrobić. Czy ty rozumiesz, że my jesteśmy jedynymi ludźmi

— to znaczy, chciałem powiedzieć dziećmi, które mogą coś pomóc w tej sprawie?

— Kiedy wszyscy mówili, że tylko Prezydent Miasta może pomóc...

— Ojej! No mówili, mówili, bo wiadomo, że on może jeden jedyny wydać takie zarządzenie. Ale żeby je wydał, trzeba z nim przedtem o tym porozmawiać.

— To kto ma rozmawiać?

— Boże, jaka ty jesteś dziecinna, Karolciu! Mnie się zdaje, że tylko my możemy z nim o tym porozmawiać.

— Ależ ja nie potrafię!

— Ja też nie, ale musimy!

— To poprośmy o to koralik. — Karolcia jest bardzo zadowolona z tego pomysłu. — Może on by porozmawiał?

— Karolciu, co ty? — denerwuje się Piotr. — Jakże koralik będzie rozmawiał. No, pomyśl tylko!...

— Rzeczywiście — wzdycha Karolcia — masz rację! To co zrobimy?

— Co? Pójdziemy do Prezydenta Miasta i wytłumaczymy mu, żeby tę restaurację budowali sobie gdzie indziej!

— Masz świetne pomysły — zachwyciła się Karolcia.

Ale już po chwili znów zaczyna się martwić: — Ale jak my to zrobimy?!

— Ba, musimy to jakoś wymyślić.

— Tak, a słyszałeś przecież o tych stu siedemnastu pokojach i o tych urzędnikach, i o tym pisaniu podania czy jak tam, i o tym sekretarzu czy sekretarce...

— Ale przecież w tym nam pomoże koralik! No, nie rób takiej zdziwionej miny, Karolciu. Koralik pomoże nam dostać się do Prezydenta, rozumiesz?

— Rozumiem — zgodnie przytaknęła Karolcia, chociaż tak naprawdę to niewiele rozumiała.

— Czy zaraz mamy stać się niewidzialni? — spytała.

— Skądże znowu! — zaprotestował Piotr. — Nie wiadomo, czy akurat to będzie potrzebne. Spróbujemy najpierw o własnych siłach. Myślę, że musimy koniecznie jak najprędzej dostać się do Ratusza.

— To chodźmy zaraz — zgodziła się Karolcia.

Oczywiście, że tym razem, nie chcąc już nadużywać sił koralika, pojechali najzwyczajniej pod słońcem autobusem na Stary Rynek, gdzie stał wielki Ratusz. Przy ogromnej bramie czuwał strażnik miejski w paradnym, starodawnym stroju i spoglądał niezmiernie srogo na każdego, kto miał zamiar dostać się do gmachu.

— Ja się bardzo boję tego strażnika — wyznała Karolcia — za nic na świecie nie przejdę obok niego. Spójrz tylko, jaki on jest zły!

— Ja bym przeszedł, wcale się nie boję!

— Ale ty jesteś chwalipięta! Na pewno byś nie przeszedł.

— Ja chwalipięta? Ja bym nie przeszedł? — zaperzył się Piotr.

— Poczekaj, zaraz zobaczysz! — i ruszył śmiało naprzód. Ale strażnik nątychmiast go zatrzymał.

— Hej, mały, a ty dokąd? Zmykaj stąd, pókim dobry.

— Idę do pana Prezydenta Miasta w niezmiernie ważnej sprawie — oświadczył Piotr zadzierając głowę do góry dla dodania sobie wzrostu i ważności.

Ale strażnik wcale się tym nie przejął. Poruszył groźnie wąsikami i ryknął:

— Zjeżdżaj mi stąd, smarkaczu, pókiś cały! Patrzcie go!

Interes ma do Prezydenta Miasta!

— A mam! — tupnął nogą Piotr. Dla wszelkiej pewności stał teraz trochę dalej od strażnika, ale nie dawał za wygraną.



— Cha, cha, cha, cha, cha, cha! — śmiał się strażnik.
— Interes do Prezydenta! A to dobre!
— Dobre, niedobre, ale mam interes!
— Oooo! Patrzcie! Nie widać, a słychać — drwił strażnik
— ale dosyć już żartów! Bo jak się zdenerwuję, to ci zaraz przyłożę!
— Proszę mnie natychmiast wpuścić! — powiedział teraz z mocą Piotr — ja muszę wejść i załatwić niezmiernie ważną sprawę.
— A ja ci mówię, że nic nie załatwisz, pętaku! — wrzasnął strażnik i paradną halabardą, którą trzymał w rękę, zamierzył się na Piotra.
— A ja mówię, że załatwię — powtórzył Piotr. — I jak już załatwię, to panu będzie wstyd, że pan tnie nie chciał wpuścić.
— Dosyć tego gadania, zmiataj, łobuzie!
— Nie jestem żadnym łobuzem — oburzył się Piotr. Karolcia też była oburzona i wołała ile sił:
— To nieprawda, nieprawda! Piotr nie jest łobuzem! Proszę nas wpuścić w ważnej sprawie!
— Jeśli się stąd zaraz nie wyniesiecie, to każę was zamknąć w areszcie! — wrzasnął w odpowiedzi strażnik. Tak, jasne było, że strażnik za nic na świecie nie wpuści ich do pana Prezydenta Miasta. A cóż dopiero tych stu siedemnastu urzędników? I podanie w dodatku! Oczywiście, że trzeba będzie uciec się do pomocy koralika.
— Ale zrobiliśmy wszystko, co było można, aby załatwić to bez jego pomocy — powiedział Piotr. — Jeśli jednak nie można — musimy go o coś poprosić.
— Czy chcesz, żebyśmy znów byli niewidzialni?! — spytała Karolcia.

— Hm, już ci mówiłem, że nie wiem, czy to będzie dobrze. Bo jak przekonamy Prezydenta, jeśli będziemy niewidzialni?!

— Ale możemy być niewidzialni tylko po to, żeby wejść do niego...

— Boję się, czy on wtedy uwierzy, że jesteśmy prawdziwi

— Piotr zmarszczył brwi i zastanawiał się — ale rzeczywiście, zdaje mi się, że nie ma innej rady.

Wobec tego Karolcia wyjęła szybko z kieszeni pudełeczko z koralikiem. Na swoim posłaniu z watki błękitniał jak niezabudka.

— Koraliczku kochany — szepnęła Karolcia — ty rozumiesz, że sprawa jest ważna. I proszę cię, żebyś tak bardzo szybko nie bladł!

Gdy po chwili, już zupełnie niewidzialni, mijali wartownika, bardzo chciało im się śmiać, bo Piotr ani rusz nie mógł wytrzymać, żeby nie pociągnąć za połą jego paradnego munduru.

— Rety! Co to? — zdenerwował się wartownik. — Jakoś mi się zdawało, że mnie ktoś zaczepił! — I zaniepokojony zaczął się oglądać wokół. A Piotr łaps! — chwycił strażnika za halabardę i naprawdę zupełnie niechcący wyrwał mu ją z ręki.. Nie dlatego, żeby znów był taki okropnie silny, tylko dlatego, że ten wartownik wcale a wcale tego się nie spodziewał. Ale to jeszcze nic, że mu wyrwał z ręki — najgorsze było to, że wyglądało to tak, jakby halabarda sama teraz ruszyła na wartownika. Teraz się dopiero na dobre przestraszył. Oczy wybałuszył, usta otworzył i przez chwilę nie mógł słowa przemówić. Bardzo to było śmieszne i Piotr miał ochotę jeszcze trochę strachu mu napędzić, ale zaraz przypomniał sobie,

że przecież mają iść w niezmiernie ważnej sprawie do samego Prezydenta Miasta.

Powędrowali więc dalej przez ogromne podwórze, na którym rzędem stały piękne auta.

— Kto tymi autami jeździ? — spytała Karolcia.

— Pewnie Prezydent.

— Ale wszystkimi nie może jeździć!

— To może o każdej porze dnia jeździ innym — zastanawiał się Piotr — albo może jacyś goście do niego przyjechali. Wiesz, tacy ważni, na przykład z innych miast. Ale piękne auta. Czekaj, obejrzymy je trochę. Ja ci zaraz powiem, jakie to są marki.

Tak, tak, Piotr znał się na tym doskonale. Nie można powiedzieć. Ale najwięcej podobało mu się jedno bardzo duże i długie auto, polakierowane na czerwono i czarno.

— W dodatku jest ono bardzo łatwe do prowadzenia. Rozumiesz, Karolciu? Tu się włącza bieg, tu naciska starter. Czeka! Zaraz spróbujemy! Wsiadaj!

Auto było puste i pokusa była zbyt wielka. Trzaśnięcie drzwiczek — i oto Karolcia siedzi już na skórzanych, czerwonych poduszkach, a Piotr majstruje przy złocistoczerwonej kierownicy.

— Ciekaw jestem... ciekaw jestem — zastanawia się Piotr — po co tu jest ten kluczyk? Zaraz zobaczymy... Naraz auto poderwało się i motor okropnie zawarczał. Piotr na szczęście szybko ujął kierownicę i skręcił w bok, bo byliby wpadli na ścianę.

— Ach, ach! — krzyknęła przestraszona Karolcia.

— Nic się nie bój — uspokoił ją Piotr — znam się trochę na tym! Nic się nie stało! — Ale naprawdę to był też przestraszony i nie wiedział, co robić dalej.

— Kiedy ja już wolę wysiąść — powiedziała Karolcia — naprawdę wolę wysiąść! — Poczekaj, niech tylko uda mi się zastopować. Diabelska maszyna! Nie wiem, co to jest z tym motorem.

Tymczasem na podwórzu wypadł rozgniewany kierowca czerwonego wozu.

— Kto do licha rusza wóz pana Prezydenta? — wrzasnął. Ale zaraz skamieniał ze zdumienia. Czerwony samochód był pusty. Zupełnie pusty. Motor warczał, a wóz podskakiwał dziwnie. Kierowca przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz. Nie, wzrok go nie mylił — w aucie nikogo nie było.

— Co to jest? — mruknął.

— Niech pan lepiej powie, jak się zatrzymuje — zapytał naraz nie wiadomo skąd jakiś głos. Głos brzmiał trochę dziecinnie, ale kierowca nie zastanawiał się wcale nad tym, tylko prędko odpowiedział:

— Przecież trzeba wyłączyć motor.

— Tam gdzie jest kluczyk? — zapytał znów głos.

— No pewnie, że tu. O rety — czy mi się to śni, czy co? Z kim ja rozmawiam?! — Biedny kierowca już zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje.

Naraz auto zatrzymało się. Drzwiczki otworzyły się z trzaskiem i z trzaskiem zamknęły. To niewidzialni Piotr i Karolcia szybko wysiedli z samochodu.

— Zwariowałem, nic innego — mruknął kierowca. — Motor warczy, drzwiczki otwierają się i zamykają — co to ma znaczyć?

Ale Piotr i Karolcia nie słuchali już dłużej jego rozważań — musieli przecież koniecznie dostać się do samego Prezydenta Miasta. Piotr odczuwał nawet poważną skruchę, że to przez niego stracili tyle czasu. Toteż tłu-

maczył się przed Karolcią:

— Rozumiesz, przecież nie mogłem wiedzieć, że w takich nowych modelach jest trochę inaczej.



Kamienne lwy!

Kiedy już ochłonęli po przygodzie z autem, Piotr oświadczył ze skrucą:

— Trochę czasu straciliśmy niepotrzebnie. Chodźmy, wejście główne jest z drugiej strony.

— Skąd wiesz? — zdziwiła się Karolcia.

— O, tu jest napis i strzałka — wskazał Piotr. — Chodźmy jak najprędzej.

Zupełnie zapomnieli o tym, że są ciągle jeszcze niewidzialni, i biegnąc narażali się na to, że przechodnie wpadali na nich albo potracali. Wskazówki na ratuszowym zegarze posuwały się powoli naprzód. Wreszcie stanęli przed głównym wejściem. Przy żelaznej, ogromnej bramie czuwały dwa zupełnie nieduże kamienne lwy, a w głębi widać było marmurowe schody i drzewka w drewnianych kubłach. I właśnie w tej chwili, gdy zdyszani jeszcze od pośpiechu mieli zamiar nacisnąć wielką, wykutą w kształcie liścia żelazną klamkę, wąsaty strażnik przekręcił w zamku ze zgrzytem ogromny klucz. Brama była zamknięta.

— Wszystko stracone! Nie dostaniemy się teraz! — Karolcia załamała z rozpaczą ręce.

— Może jeszcze jakoś nam się uda — próbował pocieszyć ją Piotr, usiłując jednocześnie precyzyjnie się między żelaznymi prętami ogrodzenia. Ale mimo to, że był szczupły, szpary między prętami okazały się zbyt wąskie. Nawet Karolcia nie mogła się tam zmieścić.

— Tędy nie przejdziemy! Ale spróbujemy jeszcze innej drogi — i Piotr, nie dając za wygraną, próbował ter-

az wspiąć się po śliskich, gładkich prętach żelaznego ogrodzenia. Ale i to się nie udawało.

— Nie dasz rady! Ach, nie dasz rady! — zaszlochała Karolcia. Była już nie tylko zmartwiona, ale i zmęczona tym wszystkim.

Oparła się o jednego z kamiennych lwów czuwających przy bramie i ocierała łzy spływające po jej niewidzialnej twarzyczce.

Naraz poczuła na ręce dotknięcie czegoś ciepłego, trochę szorstkiego i wilgotnego. Odstłoniła zapłakane oczy i z niepomiernym zdumieniem zobaczyła, że to kamienny lew przestał być kamienny i że to on polizał ją po ręce. Wcale go się nie bała. Był nieduży i wydawał się bardzo łagodny i przyjazny.

Gdy merdał uprzejmie ogonem, tak jak to robią na powitanie psy — ten drugi, który czuwał po drugiej stronie bramy, przeciągał się z przyjemnością, mrużąc:

— Och! Ależ ścierpły mi łapy!

— No pewnie — powiedział na to pierwszy lew — tyle czasu leżeć bez ruchu — Czy... czy wy jesteście zaczarowane? — spytał z zachwytem Piotr.

— Oczywiście, że zaczarowane — odpowiedziały zgodnie lwy.

— Jesteśmy jak najbardziej zaczarowane i wobec tego możecie na nas liczyć. Wiemy o was wszystko i wiemy, że macie niebieski koralik.

— Czy pomożecie nam się dostać do samego Prezydenta Miasta?

— To właśnie miałem przede wszystkim na myśli — odpowiedział uprzejmie lew, który się skarżył, że mu ścierpły łapy. — Po prostu chyba najlepiej będzie, jeśli

nie tracąc czasu wsiądziecie nam na grzbiety i pojedziemy do Prezydenta.

— Czy mówisz to poważnie? — Piotr pełen był jeszcze niedowierzania.

— Ogromnie nie lubię powtarzać dwa razy tego, co już raz powiedziałem — mruknął lew. — Chyba że pozwolisz, abym jeszcze podrapał się trochę w ucho. Tak dawno się nie drapałem.

— Owszem, bardzo proszę, jeśli tylko masz ochotę.

— Dziękuję — lew kiwnął łbem, a potem podrapawszy się dokładnie w lewe ucho, przeciągnął się raz jeszcze i zachęcił Piotra:

— No, wsiadaj na mnie. Nic się nie bój, nie spadniesz. A ty, mała, wsiadaj na mojego brata. Możecie dla pewności trzymać się grzywy. No co, już gotowi?

— Gotowi — odpowiedzieli zgodnie Piotr i Karolcia.

— No to hop!

I obydwa lwy natychmiast lekko i zgrabnie przeskoczyły przez ogrodzenie. Przysiadły potem na strzyżonym trawniku i rozejrzały się. W pobliżu umieszczona była biała tabliczka z napisem: „Nie deptać trawników”.

— Nie deptać, to nie deptać — mruknęły trochę niezadowolone — miałyśmy ogromną ochotę pobiegać, chociaż przez chwilę, po prawdziwej trawie. Ale trudno!

I pobiegły szeroką, wysypaną żwirem aleją do marmurowych schodów, po których wchodziło się do Ratusza.

— Ale jak dostaniemy się do środka, kiedy kryształowe drzwi są zamknięte! Sama słyszałam, jak je zamykali — przypomniała sobie naraz Karolcia. Ale lwy wcale się tym nie przejmowały.

Po prostu, najzwyczajniej w świecie, jeden z nich dot-

knął tylko drzwi łapą i zaraz same otworzyły się szeroko, z lekkim tylko skrzypnięciem.

— A czy wiecie, gdzie teraz trzeba iść, żeby znaleźć Prezydenta? — zaniepokoił się Piotr. — Tyle tu jest korytarzy i tyle pokoi.

— Powiedziałyśmy wam przecież, że jesteśmy zaczarowane i że wszystko wiemy — zniecierpliwiał się pierwszy lew (był to ten, który polizał Karolcię po rękę). — Wiemy wszystko.

— Czy wiecie też o niebieskim koraliku?

— Cóż za niemądre pytanie — parsknął z kolei drugi lew, ten, któremu ścierpły łapy — już ci to mówiłem: przecież gdybyście nie byli posiadaczami błękitnego koralika, nie moglibyśmy ruszyć się sprzed bramy. Ale cicho! Zdaje mi się, że ktoś idzie!

Musimy znów udawać, że jesteśmy z kamienia.

— A my? — zdenerwowali się Piotr i Karolcia.

— Przecież jesteście niewidzialni!

— Prawda! A wy nie umiecie być niewidzialne?

— Właśnie że nie — mruknęły lwy, ale już zupełnie cicho, gdyż właśnie nadchodził jakiś woźny z tacą, na której stało bardzo dużo szklanek z herbatą. Przysiadły więc na czerwonym dywanie, pod jakąś palmą, i znieruchomiały. Tymczasem woźny zatrzymał się i popatrzył przez chwilę na przycupnięte, kamienne zwierzęta. Tak się zdziwił ich widokiem, że aż postawił tacę na okrągłym stole, który znajdował się w pobliżu, i wolną ręką podrapał się po łysinie. Potem podparł się pod boki i zaczął głośno rozważać: — Ejże! Czy to mi się zdaje, czy nie zdaje? Ale chyba jako żywo nigdy tu nie było w hallu kamiennych lwów. A może mi się zwiduje? A może to mi si-ę śni?



Uszczypnął się najpierw w rękę, a potem, żeby się jeszcze bardziej upewnić, czy .o jest sen, czy nie sen, dotknął jednego z kamiennych lwów. Potem chwycił tacę i pobiegł w drugą stronę, widząc, żeby kogoś sprowadzić. To była oczywiście okazja, żeby jak najszybciej opuścić hall. Toteż po chwili, w długim korytarzu, wyłożonym czerwonym chodnikiem, rozległo się ciche stąpanie lwich łap. I prawdopodobnie nic by się było nie stało po drodze nadzwyczajnego, gdyby nie to, że akurat w tej chwili uchyliły się drzwi jednego z pokoi i na korytarz wyjrzała jakaś urzędniczka. Była to grubiutka pani w okularach.

— Ratunku! — krzyknęła przeraźliwie. — Ratunku! Jakieś zwierzęta biegają po korytarzu!

— Jakie zwierzęta? — zaczęli zaraz dopytywać się urzędnicy, którzy wybiegli z sąsiednich pokoi.

— Nie jestem pewna. Może to psy! Albo może ogromne koty — denerwowała się urzędniczka. — Trzeba sprawdzić! - I rzuciła się w pogoń, a za nią urzędnicy z innych pokoi.

Biegali po wszystkich piętrach i wszystkich korytarzach. Korytarze były bardzo długie i wszyscy zadyszali się porządnie, jednak nie znaleźli żadnych zwierząt oprócz dwóch kamiennych lwów, które spoczywały przed jakimiś drzwiami.

— Zdawało się pani — śmiali się teraz wszyscy z grubiutkiej urzędniczki w okularach.

— Kiedy przysięgnę na nie wiem co, że mi się nie zdawało — tłumaczyła się zdenerwowana urzędniczka.

— To chyba te kamienne lwy tu biegały — powiedział ktoś na to i zaraz wszyscy zaczęli się śmiać, bo przecież nikt nie przypuszczał, aby kamienne lwy mogły biegać

po korytarzach Ratusza.

Wreszcie wszyscy wrócili do swoich pokoi i znów za-
legła cisza.

— Teraz już chyba spokojnie dojdziemy do Prezydenta
— westchnęły lwy wstając i przeciągając się. — Tylko czy
aby w dobrym kierunku biegniemy?

— Chyba tak, patrzcie, tu są poprzybijane strzałki, które
na pewno wskazują drogę do samego Prezydenta — Pi-
otr był niezmiernie dumny ze swego odkrycia.

— Rzeczywiście, są strzałki — ucieszyły się lwy —
niewątpliwie tędy należy się udać. I z godnością ruszyły
przed siebie.

Wkrótce też, dzięki strzałkom, znaleźli się przed wiel-
kimi, podwójnymi drzwiami, które otworzyły się przy
lekkim pchnięciu lwiej łapy. Za drzwiami ukazała się
ogromna sala pełna różnych obrazów i oszklonych szaf.
Piotr i Karolcia rozejrzeli się, ale nigdzie nie było widać
kogokolwiek, kto mógłby wyglądać na Prezydenta Mi-
asta. Wreszcie w rogu sali dostrzegli jakąś wysoką postać
w żelaznej zbroi.

— Może to jest sam pan Prezydent Miasta? — szepnęła
Karolcia.

— Coś ty? — zdenerwował się Piotr. — Przecież to jest
po prostu pusta zbroja rycerska. Tylko że ty jeszcze jesteś
za mała, żeby na tym się znać. Ja się na tym znam doskonale.

— No, to gdzie jest wobec tego sam Prezydent?

— Zaraz, niech się rozejrzę. O rety! Przecież to wcale nie
jest żaden gabinet Prezydenta, tylko muzeum. Spójrz!

Karolcia odwróciła się w tę stronę, gdzie wskazywał Pi-
otr, i przeczytała na tabliczce:

Muzeum miejskie otwarte jest co dzień od godziny 10 rano.

— Czyżbyśmy źle trafili? — dopytywał się tymczasem
jeden z lwów, drapiąc się tylną łapą za uchem. — Widać
strzałki pokazywały drogę do muzeum. — Ale zanim
Piotr zdołał mu odpowiedzieć, rozległ się jakiś gwar za
drzwiami.

— Musimy znów skamienieć — jęknął z rozpaczą drugi
lew — przestańże się już drapać!

Ale niestety już było za późno. I jeden z lwów pozos-
tał z łapą podniesioną do ucha, gdy tymczasem do sali
muzeum miejskiego weszła gromadka dzieci z jakąś
panią. Była to wycieczka szkolna.

— Jesteśmy w sali rycerskiej, spójrzcie, dzieci — zaczęła
objaśniać nauczycielka i zaraz przerwała. Można by
powiedzieć, że zaniemówiła ze zdumienia

— Oooo, ten lew się drapie, proszę pani, on się drapie!

— zawołało tymczasem któreś dziecko. A jeszcze inne
zapytało:

— Czy lwy mają pchły, proszę pani?

Nie jest zupełnie pewne, co odpowiedziała na to pyt-
anie pani nauczycielka i co się dalej działo w muzeum.
Ani Piotr, ani Karolcia nie słyszeli już tego. Nie słyszały
już lwy, które unosząc ich na grzbiecie w paru wspan-
iałych susach przesadziły całą salę i wpadły na ten sam
korytarz, pokryty czerwonym chodnikiem. Biegły potem
dalej, szybko, jak najszybciej przed siebie, nie zważając
na okrzyki spotykanych po drodze ludzi. Ktoś wołał „ra-
tunku”. Ktoś inny krzyczał:

— Gdzie jest telefon?

Ktoś jeszcze proponował, aby wezwać straż pożarną albo
może pogotowie, a jeden pan usiłował nawet z para-
solem w rękę dogonić uciekające lwy. Ale oczywiście, że

mu się to nie udało.

Wreszcie, zmyliwszy pogoń, lwy wpadły na jeszcze jeden korytarz i zatrzymały się przed drzwiami zasłoniętymi czerwoną portierą. Były to drzwi na samym końcu korytarza i już dalej nie można było uciekać. Wobec tego jeden z lwów nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się gościnnie i szeroko.

— Proszę wejść! — powiedział ktoś siedzący za dużym, błyszczącym biurkiem.



Panie Prezydencie miasta!

Ten ktoś siedzący za biurkiem zasłonięty był zupełnie gazetą, którą czytał, i wcale nie było widać, kto to jest.

— Czy myślisz, że to może jest sam Prezydent Miasta? — spytała szeptem Karolcia.

— Nie wiem. Być może.

W tej chwili czytająca osoba za biurkiem poruszyła się i odłożyła gazetę.

— Ratunku! To Filomena! — jęknął cicho Piotr. — Uciekajmy!

Ale już było za późno. Filomena spostrzegła lwy, które zaraz zaczęły udawać, że są skamieniałe, i od razu domyśliła się, że na pewno Piotr i Karolcia są w pobliżu. Bo tylko dzięki mocy niebieskiego koralika mogły ożyć kamienne lwy. A jeśli jest w pobliżu Karolcia — to znaczy, że jest w pobliżu i niebieski koralik! I wobec tego Filomena jednym susem przeskoczyła przez biurko i rzuciła się w stronę lwów. Spiczasty jej nos wydłużył się i zaczerwienił niczym bociani dziób.

— Ha! — wrzasnęła. — Gdzie jest niebieski koralik? Mówcie w tej chwili.

— Nic nie wiemy o niebieskim koraliku — oświadczyły zgodnie lwy.

Było to zresztą kłamstwo, ale kłamstwo szlachetne, mające na celu ocalenie Karolci i koralika. W rezultacie na nic się nie przydało, gdyż Filomena i tak w to nie wierzyła i nie wątpiła ani przez chwilę, że gdzieś w pobliżu musi się znajdować niewidzialna Karolcia. Rozglądała się tylko bacznie, czy nie dostrzeże błękitniejącego koralika,

tak jak wtedy w domu towarowym, kiedy na jedwabnej nitce zwisał z Karolcinej szyi. Wyciągnęła więc swój długi, dziobiasty nos i węszyła nim po całym pokoju, spoglądając przy tym zezem. Niestety! Koralik, mimo że był schowany w pudełeczku i razem z pudełeczkiem ukryty w kieszeni Karolcinej sukienki, był widoczny! Świecił słabutkim, błękitnym światłem i wskazywał nieomylnie, gdzie znajduje się Karolcia.

— Ha! — wrzasnęła na ten widok groźnie Filomena. — Mam cię!

— Uciekajmy! — szepnęła przerażona Karolcia. — Uciekajmy!

Dobrze było powiedzieć: uciekajmy! — ale dokąd? Przecież za drzwiami na pewno byli jeszcze ci ludzie, którzy ich przed chwilą gonili. O ucieczce nie mogło być mowy. A tymczasem Filomena nie wiadomo skąd zdobyła parasol i z parasolem w ręce nacierała teraz na biedne lwy. Ryknęły co prawda najgroźniej, jak tylko potrafiły, aby ją przestraszyć, ale niełatwo było to zrobić. Atakowała zaciekle i w pewnej chwili tak mocno trzasnęła parasolem jednego z nich, że aż mu rozkrwawiła nos.

— Ha! — krzyczała przy tym. — Nie umkniecie mi! Muszę odzyskać błękitny koralik!

— Nie odbierzesz przenigdy w świecie błękitnego koralika — odpowiedziały bohaterkie lwy. — Nie boimy się twego parasola!

— Zobaczmy! — odgrażała się Filomena. — Kiedy zdobędę błękitny koralik, skamieniejecie już na zawsze! I już nigdy nie będziecie mogły biegać!

Uganiała się teraz za lwami naokoło biurka. Lwy umykały

w szalonym pędzie, Piotr i Karolcia trzymali się ich kosmatych grzyw,
a Filomena biegała za nimi, wpatrzona w migocący błękitny koralik, zadyszana, z parasolem w ręce.

Naraz do pokoju wszedł jakiś starszy, bardzo miły pan. Na szczęście lwy spostrzegły go wcześniej, zanim zauważyła jego wejście Filomena, i natychmiast skamieniały.

— Co tu się dzieje? — zapytał ze zdziwieniem starszy pan. — Co pani się stało, panno Filomeno? Czemu biega pani naokoło mojego biurka? Czy tak powinna się zachowywać sekretarka?

Filomena zatrzymała się w pędzie i od razu stała się grzeczna i potulna. Nos miała teraz o wiele mniej spiczasty, a w ręku zamiast parasola trzymała ołówek. Spytała słodko:

— Słucham, panie Prezydencie. Chciałam właśnie...

— Dziękuję pani, nie jest mi pani teraz potrzebna — przerwał jej pan, który, jak się okazało, był samym Prezydentem Miasta! — Proszę teraz mi nie przeszkadzać, bo muszę pomyśleć o bardzo ważnych sprawach.

— Dobrze, panie Prezydencie — odpowiedziała na to Filomena i ukloniła się tak nisko, że nosem prawie że dotknęła czerwonego

dywanu. Spojrzała też ze złością w tę stronę, gdzie w półmroku gabinetu migotał błękitny, upragniony koralik, i pogroziła pięścią skamieniałym lwom. Aż wreszcie, bardzo niechętnie, wyszła, trzasnąwszy lekko drzwiami. Prezydent Miasta odwrócił się teraz w stronę swojego biurka, gdy naraz z ogromnym zdziwieniem zauważył przycupnięte pod ścianą dwa kamienne lwy.

— A to co? — powiedział ze zdumieniem na głos. — Zdażę mi się, że przedtem nie było tu nigdy żadnych lwów!!!!

— Oczywiście, że nie było ich tu przedtem — wyjaśnił bardzo uprzejmie jakiś cienki głosik — bo to są nasze lwy, panie Prezydencie Miasta. Nie są groźne i są, jak pan widzi, nieduże.

— Czyje lwy?

— Nasze — powtórzył głosik.

— Co za: nasze? — zniecierpliwził się Prezydent Miasta.

— I w ogóle kto ośmielił się tu wejść? Kto tu jest?

— To my...

— Co za: my?

— To my! Karolcia i Piotr! Z Kwiatowej!

Pan Prezydent Miasta rozejrzał się trochę niespokojnie.

— Pan nas nie widzi, bo my jesteśmy niewidzialni — wyjaśnił dalej głosik.

— Niewidzialni?! — zdumiał się Prezydent. — Niewidzialni? — powtórzył jeszcze raz z niedowierzaniem, ale zarazem i jakby zachwytem.

— Tak. Jesteśmy jak najbardziej niewidzialni. Zresztą może się pan sam o tym przekonać. Chce pan?

— Proszę bardzo — zgodził się tym razem uprzejmie Prezydent.

— Uwaga! Raz! Dwa! Trzy! — zakomenderował głos.

W tejsze chwili, ku ogromnemu zdumieniu samego pana Prezydenta Miasta, który akurat właśnie zamierzał zapalić papierosa, pudełko z zapałkami uniosło się z biurka do góry, potem jedna zapałka wydobyła się sama z pudełka i potarła o nie. Gdy już się zapaliła, powędrowała w powietrzu w stronę papierosa. Jednocześnie rozległ się szept:

— Piotrek! Sam wiesz, że nie wolno bawić się zapałkami!



— Nie bądź dziecinna — zabrzmiała również szep-tem odpowiedź. — Wiesz, że tu chodzi o niezmiernie ważną rzecz.

— Nic nie rozumiem... — pan Prezydent Miasta wyd-
muchał dym przez nos i widać było, że sam nie wie, co
ma o tym myśleć. — Nie rozumiem, co to za sztuczki...

— Ależ to nie są żadne sztuczki — zapewnił natychmiast
cienki głosik — to naprawdę, proszę pana Prezydenta
Miasta.

— Co: naprawdę?

— Naprawdę jesteśmy niewidzialni.

— Strasznie nie lubię, kiedy mi się śnią takie dziwne
rzeczy, a ja nie mogę się obudzić — mruknął Prezydent.

— Kiedy to się panu wcale nie śni, proszę pana!

— A czy moglibyście mnie uszczypnąć, żebym był pew-
ien, że to nie jest sen?

— Nnnie, to znaczy nie wiemy, czy można szczypać
samego Prezydenta Miasta — wyznał z wahaniem głos.

— Można! — oświadczył mężnie pan Prezydent i wy-
ciągnął rękę, przy czym zdecydowanym ruchem odwinął
rękaw marynarki i koszuli. Ledwie to jednak zrobił, krzyk-
nął przeraźliwie:

— Aj! Aj! To boli!

— Ojej! Bardzo pana, panie Prezydencie, przepraszamy!

— powiedzieli ciągle niewidzialni Piotr i Karolcia. — Ale,
ale to przecież pan sam kazał!...

— Tak, tak, w istocie sam was o to prosiłem — wyznał ze
skruchą Prezydent — tak! Zdaje mi się, że wreszcie wam
uwierzę. Ale słuchajcie! Czy wy ciągle musicie być niew-
idzialni? Czy, czy nie mógłbym was zobaczyć? Chociaż
na chwilę? Przyznam się, że nie lubię rozmawiać z kimś,

kogo nie widzę! Bardzo nie lubię!

Jeszcze Prezydent Miasta nie skończył tych słów, kiedy
zobaczył przed sobą Piotra i Karolcię.

— Więc, więc to wy byliście przed chwilą niewidzialni?
— zdumiał się ogromnie.

— Tak, proszę pana Prezydenta — kiwnęła główką Karol-
cia i ukłoniła się najgrzeczniej, jak tylko potrafiła, a Piotr
szurgnął z szacunkiem nogami.

— To jak wy się nazywacie?

— Piotr i Karolcia.

— Aha! Piotr i Karolcia. No, dobrze, ale dlaczego byliście
niewidzialni?

— No, bo przecież inaczej nie moglibyśmy się dostać do
pana w niezmiernie ważnej sprawie — wyjaśnił Piotr.

— I pilnej! — dodała Karolcia.

— A w dodatku, gdybyśmy byli widzialni, toby nas dogo-
niła Filomena.

— A cóż znowu chcecie od Filomeny? Filomena nie
jest co prawda najsympatyczniejsza, ale jest dobrą sek-
retarką.

— Jest raczej czarownicą — sprostował Piotr.

— Co ty mówisz? — znów się zdziwił pan Prezydent Miasta.

— Być może, być może. Już, zdaje mi się, ktoś mi o tym
wspominał. Ale czego właściwie ode mnie chcecie? —
I po coście tu przyszli?

— Właściwie przyjechaliśmy. Na lwach! — uczciwie
wyznał Piotr. — A dlatego musieliśmy przyjechać na
lwach, że brama byłazamknięta.

— Nic nie rozumiem! Na kamiennych lwach?

— Oczywiście, przecież one wcale nie są tak wciąż
kamienne!

Tylko proszę się ich nie bać, one nie zrobią nic złego — uspokajał Prezydenta Piotr, gdy tymczasem Karolcia poprosiła lwy, aby znów przestały być kamienne. Lwy oczywiście ochoczo skorzystały z tego zaproszenia i przeciągały się prostując zdrętwiałe łapy.

— Jak pan widzi, są zupełnie przyjemne.

— Tak, tak, rzeczywiście — zgodził się Prezydent trochę niepewnie.

— To są naprawdę wyjątkowo łagodne lwy — zapewniała gorąco Karolcia. — I mimo że nie są przecież takie duże jak prawdziwe lwy, są nadzwyczaj dzielne. Proszę mi wierzyć.

— Aaaa... czy czasem nie są głodne? — przypomniał sobie nieco trwożnie Prezydent Miasta.

Ale lwy zaraz gwałtownie zaprzeczyły — nie, wcale nie są głodne i w ogóle raczej odzwyczały się od jedzenia. Bo czym może się odżywiać taki mały, kamienny lew?

— Tak, tak, zapewne — grzecznie przyznał im rację Prezydent — ja tylko tak wspomniałem, bo właśnie zda-
je mi się, że jestem głodny. Nie zdążyłem zjeść śniadania.

— Ach, panie Prezydencie — ucieszyła się Karolcia — czy mogę pana poczęstować? Ciotka Agata przygotowała dla nas pyszne śniadanie. Czy zje pan je razem z nami?

I wyciągnęła natychmiast z kieszeni paczkę ze śniadaniem. Były tam również, jak wiadomo, znane już serduszka czekoladowe.

— No, dobrze — zgodził się pan Prezydent Miasta — a przez ten czas opowiecie mi, po coście tu właściwie przyszli.

Rzeczy chyba jeszcze dziwniejsze

— Przepyszne! — oświadczył pan Prezydent Miasta. Skończył właśnie jeść czekoladowe serduszko i wyglądał na niezmiernie zadowolonego. — A co do tej sprawy, o której mi opowiadaliście, to sądzę, że powinienem sam to jakoś zbadać. Ale jak to zrobić?

— Niech pan zaraz pojedzie z nami do naszego ogrodu! — zaproponowała Karolcia.

— Hm! — zastanowił się Prezydent. — Chętnie bym to zrobił. Ale, jak wiecie, czeka na mnie cała masa obowiązków niezmiernie ważnych. Chociaż, muszę przyznać, że wasza sprawa też wydaje mi się niezmiernie ważna.

— No właśnie! Oczywiście, że jest niezmiernie ważna! — krzyknął z zapałem Piotr. — Niech pan zaraz z nami jedzie. Nie warto się nawet nad tym zastanawiać.

— Ba! — westchnął smutnie Prezydent. — Ale czy mi się uda stąd wyjść? Moja sekretarka na to się nie zgodzi!

— Filomena?

— Tak jest! Filomena! Nie myślcie, że ona tylko wobec was jest taka niedobra. Na mnie też ciągle krzyczy i na nic mi nie pozwala.

Nie pozwala mi przyjmować tych ludzi, którzy przychodzą do mnie z różnymi sprawami, wszystkich wyrzuca za drzwi!

— Ale pan przecież wcale nie musi się pytać jej o pozwolenie, aby stąd wyjść! — krzyknęli Piotr i Karolcia.

— Jak to: nie muszę! Jeśli będę chciał wyjść, to ona zaraz powie, że przedtem muszę podpisać trzysta siedemdziesiąt sześć bardzo ważnych dokumentów. A ja tak nie

lubię podpisywać dokumentów.

Tak, sprawa nie była łatwa. Filomena mogła nie dopuścić do tego, aby Prezydent Miasta wydalil się ze swego gabinetu bez jej wiedzy.

A oczywiście nie było mowy o tym, aby mogła wiedzieć, dokąd ma zamiar się udać.

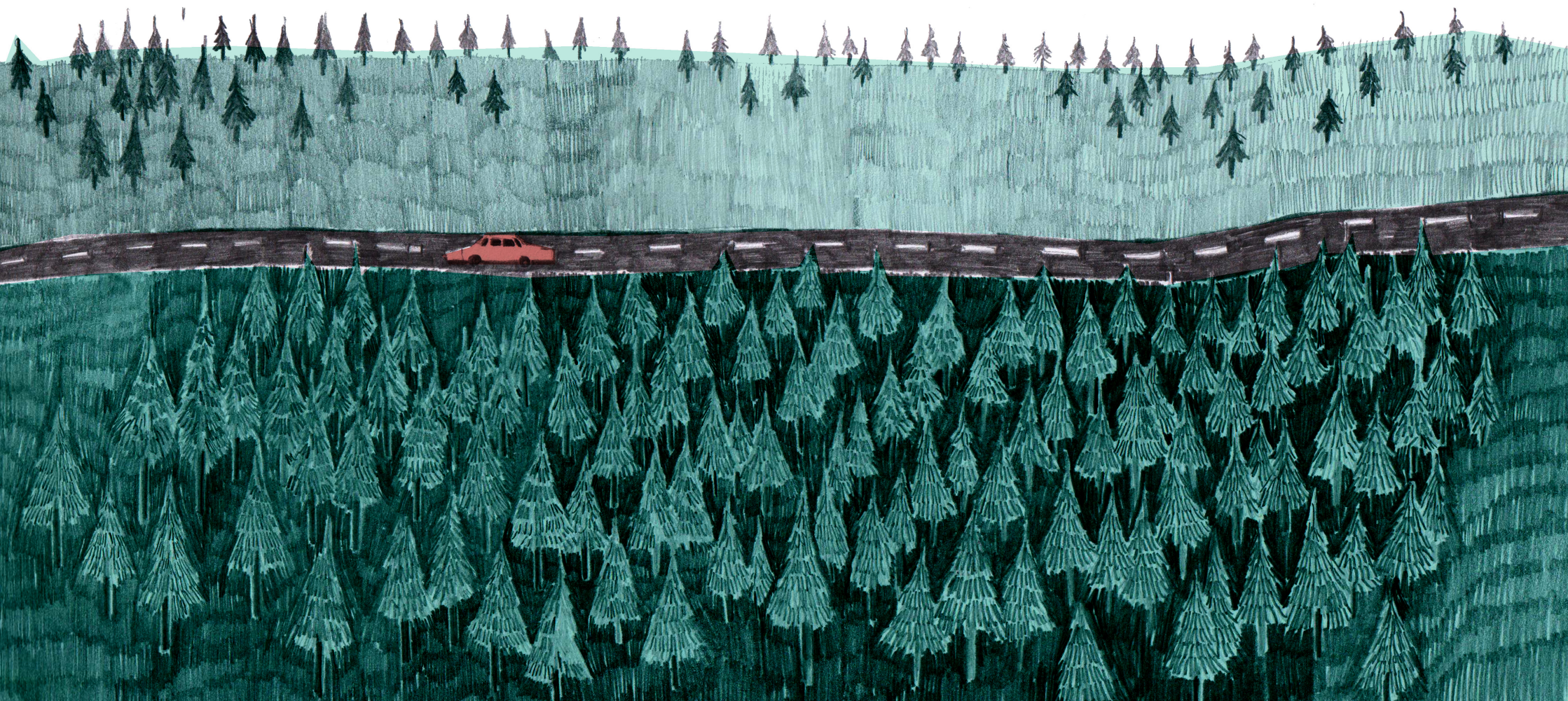
— A gdyby jej też dać czekoladowe serduszko — zaproponował naraz Piotr — może by się zmieniła?

— To jest myśl — ucieszył się Prezydent, chociaż wcale

a wcale nie wiedział, jakie jest naprawdę działanie czekoladowych serduszek.

Ale Karolcia zaraz zaprotestowała i przypomniała Piotrowi, że przecież w domu towarowym Filomena połknęła co najmniej pół tuzina serduszek i wcale a wcale to jej nie pomogło.

— Prawda! — zmartwił się Piotr. — To co wobec tego zrobimy? Aha, już wiem! Pan musi stąd uciec, panie Prezydencie!



— Uciec?! — zawołał z zachwytem Prezydent. — To byłoby cudowne! Ale czy to się uda?!

— Czemu ma się nie udać? Musimy tylko pomyśleć, jak to zrobić! Już wiem — Piotr aż podskoczył z zachwytu — Karolciu!

Musimy tak zrobić, aby pan Prezydent Miasta mógł stąd spokojnie uciec. Już mam plan. Wspaniały plan! Wszystko się uda! Ręczę za to.

— Ale jaki plan? — denerwowali się Karolcia i Prezydent.

— Zrobimy tak: otworzymy drzwi... wsiądziemy na nasze lwy i wypadniemy szybko, jak najszybciej na korytarz...

— Tak, a przez ten czas wpadnie tu Filomena... — zmartwił się Prezydent.

— Wcale nie wpadnie! — bronił swojego planu Piotr. —

Wcale nie wpadnie, bo po co ma wpadać. Na pewno rzuci się w pogoń za nami! My naturalnie będziemy uciekać, jak tylko da się najszybciej, a tymczasem... a tymczasem pan Prezydent Miasta, korzystając z tego, że Filomena będzie zajęta pościgiem za nami, szybko, ale to jak najszybciej wymknie się przez otwarte drzwi. Ona pewno pana wtedy nie zauważy.

— E, to niemożliwe — smutnie pokręcił głową Prezydent — a co będzie, jeśli mnie ktoś spotka biegnącego przez korytarz?

— Hm! To prawda — zastanowił się Piotr. — Ale już wiem, wyjdzie pan przez okno! Tu chyba nie jest bardzo wysoko?

I zaraz podbiegł do okna, żeby się przekonać. Ale niestety! Okno znajdowało się na pierwszym piętrze i nie było mowy, aby skakać z takiej wysokości. Co robić?

— Co robić? — powtórzył smutnie Prezydent. Był tak

zmartwiony, że Karolci i Piotrowi było go niezmiernie żal.

— Już wiem! — zawołał naraz Prezydent. — Czy nie mógłbym stać się niewidzialnym tak jak wy? Tak chociaż na trochę? Bo oczywiście, nie mówię, żeby tak na zawsze, ale tak na trochę! Boże!

Zawsze o tym marzyłem! Ach! Karolciu, nie mogę w to uwierzyć! Bo wtedy byłoby łatwiej uciec.

Teraz Piotr z Karolcią odbyli błyskawiczną naradę — czy można tak ryzykować? Czy można znów prosić koralik o przysługę?

Przecież na pewno znów zblednie. Ale nie ma innego wyjścia.

— Więc stanie się tak, że może pan być na trochę niewidzialny.

Przecież i tak muszę poprosić koraliczek, żebyśmy my — to znaczy Piotr i ja — znów stali się niewidzialni, bo przecież inaczej stąd się nie wydostaniemy. A jeśli będę prosiła o to dla nas, to już od razu poproszę, żeby i pan stał się niewidzialny. To się będzie i tak liczyło za jedno życzenie.

— Ach! Jestem taki wzruszony — wyznał Prezydent. — Czasem, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, wyobrażałem sobie, że zdarzy się coś takiego w moim życiu. I zdarzyło się teraz. Ach!

Tymczasem zegar na wieży ratuszowej wybił godzinę dwunastą.

— Już jest południe! — krzyknął Prezydent, policzywszy uderzenia. — Za dwie godziny odbędzie się ogromnie ważne posiedzenie rady miejskiej, na którym muszę być.

— Wobec tego nie mamy czasu do stracenia — zdecydował Piotr. — Karolciu! Musimy znów stać się niewidzialni! I pan Prezydent Miasta też. Musimy więc ułożyć

plan ucieczki. Zrobimy tak: ja zrobię coś takiego, żeby Filomena zagapiła się i nie zauważyła, kiedy wy będziecie stąd wychodzić...

— Ale przecież my będziemy niewidzialni — zauważyła Karolcia.

— Niewidzialni, niewidzialni! Oczywiście, że będziemy niewidzialni, ale lwy? Przecież lwy są widzialne, a muszą też stąd się wydostać.

— Oj, bardzo chętnie — mruknęły teraz zgodnie obydwie lwy, przeciągając się — zupełnie już zdrętwiały nam łapy, a po drugie, zdaje się nam, że w tym dywanie są pchły!

— Cóż znowu! — zaprotestował słabo Prezydent Miasta. Ale już nie było czasu na dalsze rozmowy na ten temat, bo trzeba było jak najszybciej wydostać się z gabinetu. Co prawda Prezydent Miasta wcale nie chciał wierzyć, że naprawdę jest niewidzialny, ale po solennym zapewnieniu Karolci i Piotra uwierzył im w końcu i Piotr mógł wreszcie, z tysiącnymi ostrożnościami, otworzyć drzwi i przejść do drugiego pokoju, który nazywano sekretariatem i w którym za dużym biurkiem siedziała zamyślona Filomena. Widocznie knuła coś niedobrego, bo nos miała znów niezmiernie wydłużony i patrzyła zezem. Ale Piotr był nieustraszony. Skoczył szybko i niby wiatr zdmuchnął z biurka wszystkie papiery na nim leżące. Filomena nawet się nie domyśliła, że tym razem jest to sprawa jej dwojga przeciwników. Była zupełnie przekonana, że to naprawdę wiatr, i rzuciła się na ziemię, aby szybko pozbierać wszystkie papierki. A tymczasem przez uchylone drzwi wymknęły się obydwie lwy, a wraz z nimi niewidzialni Karolcia i Prezydent Miasta. Co praw-

da Prezydent miał szaloną ochotę spletać jakiegoś figla Filomenie, ale nie było na to czasu. Musiało mu więc wystarczyć to, że zamachał jednym papierkiem przed jej nosem, a ona była najpewniejsza, że to podmuch wiatru. — A więc jestem naprawdę niewidzialny — szepnął wtedy w upojeniu Prezydent. — Spełniło się marzenie mojego życia!

Kiedy Piotr dogonił ich na korytarzu, odetchnęli wszyscy. Mogli teraz swobodnie pojechać na Kwiatową. Ale, ba! Po drodze musieli się co chwila zatrzymywać, gdyż Prezydent chciał się koniecznie nacieszyć swoją niewidzialnością.

— Wybaczcie — powiedział — ale muszę koniecznie zrobić coś takiego, na co mam zawsze szaloną ochotę, a czego nie wypada mi robić, ponieważ jestem Prezydentem Miasta.

I zanim się spostrzegli, szybko wbiegł po marmurowych schodach na pierwsze piętro, a potem zręcznie zjechał po poręczy.

Musieli też zatrzymać się przy sali muzealnej, gdzie Prezydent przywdział zbroję i dusząc się ze śmiechu, przemaszerował w nie przez całą salę, ku wielkiemu zdziwieniu zwiedzających. Nie mógł też się powstrzymać, mimo błagań Karolci i Piotra, aby nie ślizgać się po wyfroterowanej posadzce w hallu Ratusza.

Byłby w ten sposób przewrócił swojego zastępcę, grubutkiego pana Wiceprezydenta Miasta.

W końcu jednak, wobec przypomnień, że czas ucieka, zgodził się jechać na Kwiatową.

— Ba, ale jak pojedziemy? — zastanowił się naraz. — Już wiem! Wsiądę na jednego z lwów.



— Za nic na świecie — zaprotestowały zgodnie obydwie zwierzęta — jesteśmy przecież zupełnie małe lwy i nie udźwigniemy takiego ciężaru!

— I nogi będą się panu wlokły po ziemi — poparła lwy Karolcia.

— A czy wasz koraliczek nie mógłby zrobić tego, abyśmy od razu znaleźli się w ogrodzie? — zaproponował Prezydent.

— Nie — powiedział po zastanowieniu Piotr — nie możemy jeszcze tego żądać od koraliczka. I tak jest już bardzo błdy. Zresztą my sami też musimy pokonać jakieś trudności.

— Szkoda, że od razu, zamiast niewidzialności, nie poprosiliśmy o przeniesienie do ogrodu — dodała Karolcia.

— Ale też szkoda byłoby nie być niewidzialnym chociaż raz w życiu — westchnął Prezydent. — Jedźmy wobec tego autem. Jakże jednak pojedę autem, kiedy jestem niewidzialny! Przecież szofer nie będzie chciał jechać z niewidzialnym Prezydentem. Chyba że bym sam poprowadził auto!

To był doskonały pomysł. Należało tylko szybko dostać się do czerwonego auta samego Prezydenta, korzystając z tego, że kierowca poszedł do bufetu napić się wody sodowej.

— Szybko, szybko! Nie ma ani chwili do stracenia. — Prezydent zasiadł przy kierownicy, Piotr obok niego, a Karolcia z lwami z tyłu. Nie było bowiem nawet mowy o pozostawieniu lwów przy bramie. Koniecznie chciały zobaczyć ogród i zjeżdżalnię oraz przejechać się na karuzeli.

— No, to jazda!

Stop! Zatrzymać wóz!

Prezydent prowadził samochód doskonale. Zgrabnie wymijali autobusy i tramwaje, okrążali place i właśnie mieli przejechać jeden z pięciu mostów miejskich, gdy naraz ktoś na ulicy przystanął i zawołał:

— Patrzcie na to czerwone auto! Jedzie bez kierowcy! A w aucie jadą dwa małe lwy!

Teraz już wszyscy patrzyli na czerwony wóz, w którym odbywała się tymczasem błyskawiczna narada: co robić. — Chyba znów musimy być widzialni! — powiedziała Karolcia. Ale Piotr przeciwstawił się temu.

— Nie możemy znów całej roboty zwać na koralik. Jedźmy dalej!

Ba, dobrze to powiedzieć, ale wykonać znacznie trudniej! Przede wszystkim na skrzyżowaniach ulic i przy krawężnikach gromadziły się tłumy przechodniów: wszyscy koniecznie chcieli zobaczyć auto, które jedzie samo, bez kierowcy, a po drugie, chcieli też na własne oczy obejrzyć jadące autem lwy.

— Zatrzymać auto! Zatrzymać! — zaczęli teraz wołać niektórzy. A inni znów domagali się, aby schwytać lwy.

— Trzeba je oddać do Ogrodu Zoologicznego! — krzykali. — Jeszcze się rzucą na kogo!

— Uciekajmy! — błagały lwy. — Wcale nie chcemy dostać się do Ogrodu Zoologicznego.

— Musimy się jakoś przebić — postanowił Piotr.

Prezydent poparł go:

— Postaramy się umknąć — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Musiał teraz bardzo uważać — prowadzenie auta w tych warunkach wcale nie było łatwe. Ale Prezydent dawał sobie doskonale radę na wszystkich skrzyżowaniach ulic, gdy naraz na jednym skrzyżowaniu policjant dał znak, aby zatrzymać auto. Ale czy można zatrzymać auto, w którym nie ma nikogo przy kierownicy? Wobec tego policjant z otwartymi ze zdumienia ustami patrzył tylko za oddalającym się wozem. Po chwili jednak zeskoczył ze swego stanowiska i zaalarmował wszystkie posterunki:

— Uwaga! Czerwone auto pędzi samo przez miasto! Nikogo nie ma przy kierownicy, a w aucie siedzą dwa lwy i okropnie ryczą!

Lwy co prawda wcale nie ryczały, ale policjant powiedział tak, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej groźnie. Alarm oczywiście poskutkowało. Natychmiast w całym mieście zaczęły wyć syreny, a przez głośniki ktoś mówił grubym głosem:

— Uwaga! Uwaga! Czerwone auto przebiega ulicę miasta i zagraża bezpieczeństwu mieszkańców! A w aucie pełno jest okropnie drapieżnych lwów! Uwaga! Zatrzymać wóz!

— Co teraz zrobimy? — spytał Prezydent. Był po prostu w rozpacz. Bardzo mu się podobała ta wyprawa i wcale nie miał ochoty zatrzymać się.

— Jedziemy dalej — zdecydowali Piotr i Karolcia.

— Ale co będzie, jeśli złapią nas na skrzyżowaniu ulic, kiedy staniemy w szeregu zatrzymanych pojazdów?

— Czy musimy jechać przez skrzyżowania ulic? — spytał Piotr. — Chyba jest jakaś ulica, która się nie krzyżuje?

— Oczywiście — przypomniał sobie Prezydent. — Sam

nawet dokonywałem jej uroczystego otwarcia. To jest autostrada naokoło miasta.

Jeszcze parę ulic, gdzie był mały ruch i prawie wcale nie było posterunków policyjnych, i znaleźli się na gładkiej, szerokiej szosie.

— To właśnie ta autostrada — zawołał Prezydent, który znów odzyskał dobry humor. — Czy chcecie pojeździć trochę naokoło miasta?

— Bardzo chętnie! — odpowiedzieli wszyscy, to znaczy Piotr, Karolcia i oba lwy.

— Bardzo chętnie, ale niezbyt długo, bo przecież jeszcze musimy zdążyć na Kwiatową.

Lwy nawet zaproponowały, aby auto zatrzymało się na chwilę, żeby mogły pobiegać trochę po trawie i rozprostować łapy, które im porządnie zdrętwiały od tego ciągłego udawania, że są kamienne.

— No dobrze — zgo'dził się Prezydent — pobiegajcie przez chwilę, ale niedługo!

Lwy, uszczęśliwione swobodą, wyskoczyły z auta, które zatrzymało się na skraju autostrady, i zaczęły dla rozprostowania łap biegać najpierw w kółko, a potem gonić się w ósemki, gdy tymczasem niewidzialna trójka w aucie zastanawiała się, jak teraz najbezpieczniej będzie dojechać na Kwiatową, do ogrodu.

— Mnie się zdaje, że trzeba jechać przed siebie, a potem musimy skręcić w lewo — radził Piotr.

Rada była może i dobra, gdyby nie to, że na szosie rozległy się naraz głośne sygnały samochodowe.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nadjeżdżało jakieś auto.

Czyżby pogoń wpadła na ich trop?





W istocie, jakiś wóz pędził z tak niezwykłą szybkością, że zaledwie zdążyli ukryć w pobliskich zaroślach czerwone auto. Najgorsze jednak było to, że rozbawione lwy nie zdążyły się ukryć. Jeden z nich biegał właśnie beztrąsko po zielonej trawie z zerwanym kwiatkiem w pysku, a drugi przewrócił się na grzbiet i machał wesoło łapami, gdy nadjechał pościg.

Było to ogromne auto, z którego natychmiast wyskoczyła Filomena ze swoim ogromnym parasolem, a za nią kilku strażników miejskich. Zaledwie cała trójka — to znaczy Piotr, Karolcia i Prezydent — zdążyła nadbiec z pomocą, Filomena i strażnicy już dopadli biednych lwów. Zaczęła się walka — ale była to walka nierówna. Co prawda lwy broniły się bohatersko, ale były to przecież zupełnie małe lwy, a strażnicy przywieźli z sobą ogromną siatkę z niezmiernie grubych sznurów i właśnie w tę siatkę lwy schwyтали. Potem załadowali je na wóz i wśród okrzyków Filomeny:

„Do Zoo! Trzeba je zawieźć do Zoo!” — odjechali szybko

w kierunku Ogrodu Zoologicznego.

— Trzeba je ratować! — krzyknęła Karolcia, gdy tylko odjechali. — Musimy ocalić lwy!

— To nie ulega wątpliwości! — zgodził się Prezydent.

— Tylko jak to zrobimy? Zdaje się, że musiałbym wystosować pismo do dyrekcji Ogrodu Zoologicznego. W tym wypadku sprawa może się przewlec i nie wiem, czy prędzej jak za rok zdołamy je uwolnić!

Był bardzo tym zmartwiony.

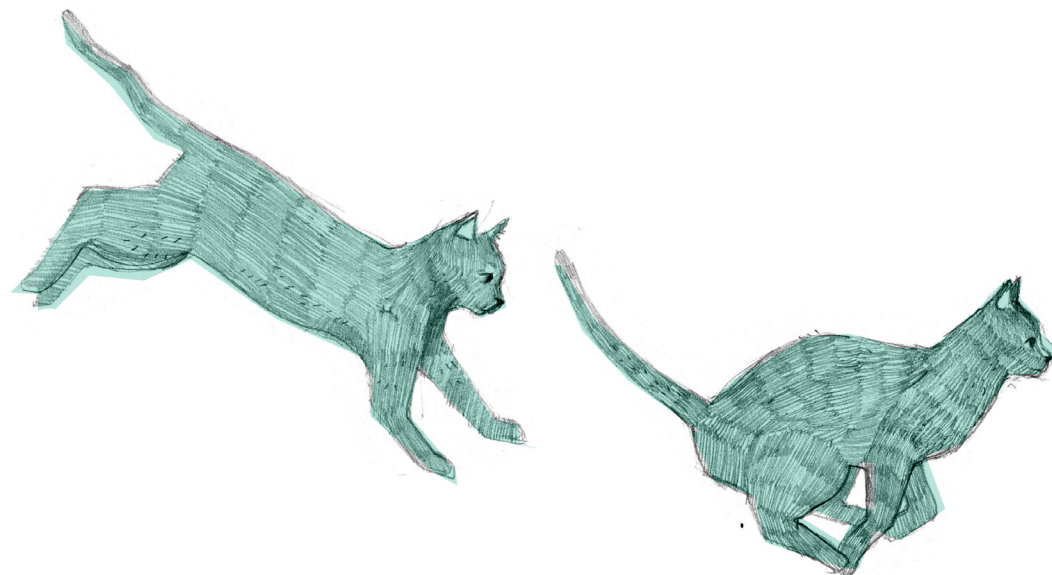
— Za rok?! — krzyknęła Karolcia. — To niemożliwe!

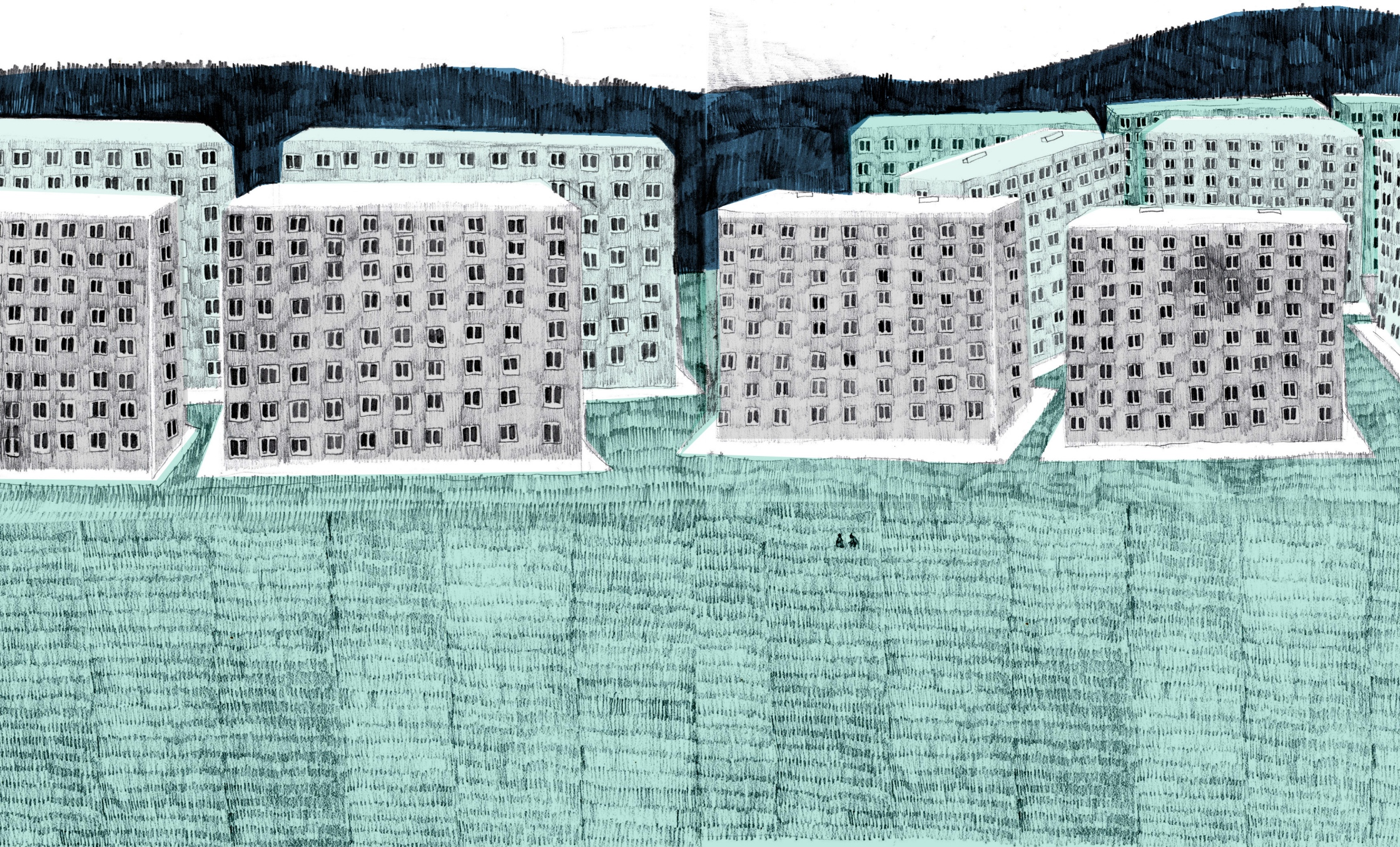
— Musimy je uwolnić natychmiast — zdecydował Piotr

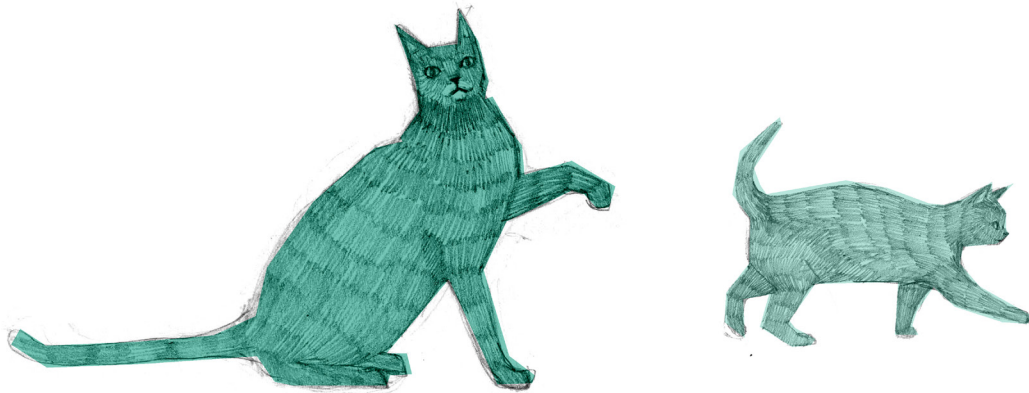
— siadajmy do auta i jedźmy! Panie Prezydencie, proszę siadać przy kierownicy!

— Ale dokąd mamy pojechać?

— Do Zoo — odpowiedział Piotr.







Spis Treści

| | |
|---|-----|
| Dzień dobry! | 6 |
| Nowina | 8 |
| Zaczęło się zwyczajnie | 11 |
| Trochę o sąsiadach i o deszczowym dniu | 24 |
| Co było dalej | 33 |
| Gdzie jest koralik? | 36 |
| O ciotcu Agato! | 44 |
| Autobus i inne rzeczy | 52 |
| Hura! Niewidzialni! Hura! Latamy! | 61 |
| Lepsze i gorsze pomysły | 72 |
| Co się działo dalej w piernikowym domku | 82 |
| W domu dzieją się dziwne rzeczy | 94 |
| Uwaga, bo co będzie dalej?... | 103 |
| Czerwony samochód poraz pierwszy | 117 |
| Kamienne lwy! | 126 |
| Panie Prezydencie miasta! | 135 |
| Rzeczy chyba jeszcze dziwniejsze | 146 |
| Stop! Zatrzymać wóz! | 154 |

Ilustrovala Gabriela Lisiecka
Pod vedením akad. mal. Renáty Fučíkové
Ateliér ilustrce
Fakulta designu a umění Ladislava Sutnara
Diplomová práce
akademický rok 2020/2021